BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 17.

Stłumione Iskry

(POWIEŚĆ)

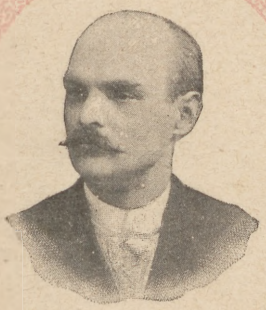

Teodor Jeske-Choiński

z przedmową

Ignacego Matuszewskiego.

Cena 25 kop

W prenumeracie 19¼ k

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya:
47. Nowy-Świat 47.

STŁUMIONE ISKRY.

Teodor Jeske-Choiński.

STŁUMIONE ISKRY

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ

Ignacego Matuszewskiego.

WARSZAWA.
Drukarnia Artystyczna
Saturnina Sikorskiego.
47. Nowy-Świat, 47.

Дозволено Цензурою
Варшава, 3 Января 1898 года.

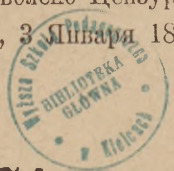

174060

„Stłumione Iskry."

Kiedy wiadomość o zwycięztwach Turków nad Grekami dotarła do wpółdzikich plemion mahometańskich, osiadłych na granicy Indyj Wschodnich i Afganistanu, wybuchło tam powstanie przeciwko „niewiernym" Anglikom, powstanie trwające dotąd i pochłaniające niemało krwi i złota.

I cóż w gruncie rzeczy mogły obchodzić owych barbarzyńskich górali zwycięztwa Padyszacha? Co łączy te dwa tak oddalone od siebie geograficznie żywioły?

Wspólna wiara w jednego i tego samego Boga i w wyższość własnej religii nad innemi...

Otóż ów czysto idealny związek wystarczył, aby głucha wieść o zwycięztwach współwyznawców poruszyła tysiące ludzi i pchnęła ich w wir niepewnej walki: „stłumione iskry“ rozrosły się odrazu w olbrzymi pożar...

Zdarzenie to jest jednem z tysiąca na świecie. Wybuchy podobne, czy to masowe, czy też jednostkowe, trafiały się, trafiają i trafiać będą w historyi dopóty, dopóki w ludziach nie wygaśnie poczucie łączności z grupami tej samej wiary, krwi, języka...

Na tym odwiecznym, ale mało wyzyskanym literacko motywie, oparł Teodor Jeske-Choiński swoją opowieść.

„Stłumione iskry“ — to poczucie łączności z wielkim narodem niemieckim, drzemiące w piersiach p. radcy Hansa von Frankensteina, który ożeniwszy się z Jadwigą Różanowską, zapomniał pod wpływem miłości o tem, że się urodził szlachcicem niemieckim i nie przeszkodził żonie wychować syna, Bolesława, po polsku.

Nagle wybuchła wielka i brzemienna w skutki wojna francusko-niemiecka. Pan radca śle-

dzi gorączkowo za jej przebiegiem i cieszy się z odznaczeń, jakie spotykają syna za waleczność na polu bitwy.

Bolesław von Frankenstein atoli szedł na wojnę bez entuzyazmu i walczył z konieczności, nie z przekonania, gdyż, dzięki wpływom matki, nie uważał się wcale za Niemca. Swoją drogą jednak był zdecydowany spełnić obowiązek do końca, gdy wtem wiadomość o tem, że w armii Napoleona III walczą rodacy jego matki, wyprowadziła go z równowagi. A kiedy podczas ataku zabił oficera wojsk francuskich, który, konając, przemówił po polsku, w piersiach Bolesława „stłumione iskry" zamieniły się w wielki płomień miłości dla swoich, a nienawiści dla Niemców.

Nie będziemy tu streszczali dalszego przebiegu akcyi, znajdzie ją czytelnik na następnych stronicach romansu. Zaznaczymy tylko, że Teodor Jeske-Choiński ze szczególnem zamiłowaniem wybierał zawsze tematy ideowo-społeczne, a zwłaszcza takie, w których tkwił jakiś zawiązek dramatu. Początkowo czerpał głównie ma-

teryał z życia współczesnego: „Syn burmistrza“ (1879), „Straceniec“, „Za winy ojców“ (1880), „Z miłości“ (1884), „Nad Wartą“ (1888), „Z Kulą u nogi“ (1891), „Po złote runo“ (1892). „W pętach“ (1893), oraz dramaty „Na straconym posterunku“ (1891), „Ostatni akt“ (1893). Od paru lat atoli przerzucił się na pole wymagające szerszego stylu i bardziej przedmiotowego traktowania.

I zapanował nad swoim bojowniczym temperamentem na tyle, że dał w „Gasnącem słońcu“ i w „Ostatnich Rzymianach“ pełne, wykończone i sumienne obrazy nastroju opracowywanych epok. Mimo to jednak i w jednej i w drugiej ze swoich historycznych powieści oparł akcyę nie na jednostkowych, lecz na ideowo-państwowych lub religijnych konfliktach. Ta strona życia i historyi pociągnęła autora więcej, niżeli inne. Bohaterowie jego są przedewszystkiem przedstawicielami ras, wyznań, warstw społecznych, doktryn filozoficznych i politycznych, a dopiero w drugim rzędzie zwykłymi ludźmi z kości i mięsa. To też, aczkolwiek starcia mię-

dzy bohaterami Choińskiego mają charakter ostry i krwawy, nigdy jednak nie robią wrażenia brutalnego i trywialnego. W „Stłumionych iskrach“ ojciec zabija syna, ale zabija nie w zwadzie karczemnej, nie w sporze o majątek, lecz w bitwie regularnej, gdzie każdy z walczących broni tego, co uważa za swój ideał droższy nad życie.

Nad ludźmi unoszą się zawsze u Choińskiego idee i to nadaje powieściom jego specyalny koloryt.

Jest tam bardzo dużo werwy, ale niema namiętności w fizyologicznem tego wyrazu znaczeniu. Najbardziej krewcy, najgorętsi i najruchliwsi bohaterowie działają zwykle nie dla siebie, ale dla jakichś celów ogólniejszych.

O tem wszystkiem należy pamiętać, czytając „Stłumione iskry“, gdzie niema wcale tego, co zowią pospolicie „romansem“, nie ma filigranowej analizy odcieni psychologicznych, ale jest nastrój społeczny, jest siła dramatyczna i jest odczucie prądów, które nietylko w chwili napisania utworu (1886), ale i dzisiaj działają z równym skutkiem na naszą wrażliwość. Dzisiaj może nawet

powieść ta posiada więcej „aktualności“, niżeli przed laty dziesięciu.

Ze względu, że autor nakreślił tam przebieg wojny francusko-niemieckiej, „Stłumione iskry“ obudziły zajęcie w ojczyznie zwyciężonych i były tłómaczone dwa razy na język francuski: raz p. t. „Le feu latent“ (Bruksella), drugi raz zaś p. t. „Le franc tireur polonais“ (Paryż); istnieje przekład prócz tego na język duński.

Ignacy Matuszewski.

I.

W hotelu Wilhelma Müller'a było gwarno, jak zwykle.

Przy długich stołach, nakrytych białym obrusem, siedzą ojcowie miasteczka powiatowego i odpoczywają po trudach pracy dziennej. Przed każdym z nich stoi ogromny kufel, napełniony piwem, nad każdym z nich unosi się gęsty kłąb dymu, snujący się z cygar lub z fajek.

Cały rozum miasta zebrał się w długiej, ciemnej sali. Są tu sędziowie, lekarze, profesorowie, radni, kupcy i bogatsi rzemieślnicy. Przychodzą oni codziennie od lat wielu krzepić się sokiem jęczmiennym i dzielić się wrażeniami i wypadkami ubiegłej doby.

Gdy zamkną się biura, szkoły i sklepy, wtedy śpieszą wszyscy na „zajdel", bo dzień, w którym Niemiec nie wysączył kilku kubków

piwa, jest dla niego straconym. „Knajpa“ — to jego salon, jego gabinet, prawie ognisko domowe. Żona nie jest towarzyszką, lecz pierwszą sługą Germanina. O czem z nią mówić? Miejsce jej w mieszkaniu prywatnem, w kuchni, przy dzieciach.

Siedzą ojcowie małej mieściny przy długich stołach i gawędzą o polityce. Ktoby ich słyszał a nie znał, mniemałby, że to zebranie rewolucyonistów, warchołów, przewrotników różnych. Wydają oni przy piwie niezmiernie śmiałe sądy o działalności ministrów, krytykują rząd, oburzają się na policyę, zżymają się na podatki, na wojsko, które „rujnuje skarb państwa;“ są liberalni, postępowi, niezadowoleni ze wszystkiego, lecz, gdy się jutro przebudzą i, ubrawszy się, udadzą się do swych zajęć, będą najsumienniejszymi wykonawcami władzy i najposłuszniejszymi obywatelami. Każdy z nich złamie się w łęk przed starszym od siebie w służbie, a przy młodszym wyprostuje się, niby kij, i będzie przemawiał końcem ust, rzucając niższemu, jakby z łaski, zaledwie dosłyszalne półsłówka.

Choć śmieją się w „knajpie“ z różnych błyskotek, niema między nimi nikogo, ktoby nie marzył o tytule radcy lub o orderze czerwonego orła czwartej klasy. Lata liczą na do-

datki do lichej pensyi, kapiące od czasu do czasu, życie mierzą szczeblami drabiny urzędniczej.

A przecież byli i oni kiedyś młodymi tytanami, których myśl szybowała śmiałemi skrzydły „nad poziomy“, a serce biło potężnie, za miłością tęskniąc i wcieleniem szczytnych ideałów.

Właśnie przypomina sobie kilku starszych panów dawno minione czasy.

W małym pokoiku, przeznaczonym dla arystokracyi, zasiadło przy okrągłym stole czterech jegomościów, sztywnych, jak wykrochmalone kołnierzyki, które obezwładniają ich szyje.

Ze stolicy prowincyi, z Poznania, przyjechał znany powszechnie radca szkolny i regencyjny, groźny pan *Regierungs und Schulrath*. Obejrzawszy szkoły, wysłuchawszy sam uczniów zdolniejszych, wygotowawszy sprawozdanie, przypomniał sobie, że w miasteczku przebywa jego trzech kolegów uniwersyteckich. Odwiedził ich i namówił na „*einen kleinen Schoppen*“.

I otóż siedzą wszyscy czterej przy piwie, jak niegdyś, w „knajpie“ studenckiej. Wówczas tryskał z ich oczu ogień młodości, z każdego ruchu wyskakiwał butny „bursz“, drwiący sobie z wierzycielów i z municypalności, gardzący wszelakim „filistrem“.

Dziś wyziera z ich pomarszczonych, łałdzistych twarzy martwa powaga, która trąci pleśnią, rdzą.

Szczęście posłużyło im. Pierwszy z nich został dyrektorem sądu, drugi dyrektorem gimnazyum, trzeci radcą sprawiedliwości, czwarty radcą szkolnym i regencyjnym. Każdy z nich posiadał prawo zadzierzgnąć w dziurce od guzika znaczek orła czerwonego czwartej klasy i marzył teraz o trzeciej.

Patrzą na siebie i uśmiechają się z zadowoleniem. Nie potrzebują się za siebie wstydzić; dorobili się wszyscy tytułów i dekoracyi.

Ale kelner przyniósł już trzeci kufel.

Sok jęczmienny zaczyna działać. Dygnitarzom robi się gorąco w ciasnych obrożach z czarnego atłasu i w opiętych tużurkach.

Pierwszy dyrektor sądu rozpina surdut, za nim kierownik gimnazyum, potem jeden radca i drugi.

— Aaa!...

Milej im tak, przyjemniej.

— *Topp*, *Bruder*, dawnośmy się nie widzieli—mówi radca szkolny.

— *Ja*, *ja*, *altes*, *bemoostes Haupt*—odpowiada dyrektor sądu i gładzi ręką wypełzłą czaszkę.— Czy pamiętasz, jakie to miałem bujne włosy?

Wszystkie ręce podniosły się mimowolnie w górę, do głów. Każdy szukał poszycia, które wichry życia wyrwały z korzeniem i uniosły z sobą bezpowrotnie, a nie znalazłszy go, roześmiał się.

— Ładne to jednak były czasy — odezwał się radca sprawiedliwości, wysoki, barczysty, jeszcze dziś przystojny mężczyzna.—Czy pamiętacie nasz ostatni komers?

— Wypiliśmy trzydzieści beczek piwa.

— Rozbiliśmy dwadzieścia latarni, wracając do domu.

— Walczyliśmy z całą armią policyantów.

Tak wołał jeden przez drugiego, a oczy wszystkich rozbłysnęły dziecinną radością.

— A o serenadzie dla rektora uniwersytetu czy zapomnieliście?—zapytał radca szkolny.

— Ja bębniłem na blaszanej miednicy.

— Ja udawałem psa.

— Ja kota.

— Hola! Piwa więcej! *Bier, mehr Bier!*— zawołał radca sprawiedliwości. — *Prosit* wam, koledzy, *gaudeamus*!

— *Prosit, prosit*—wtórowali starcy, rumieniąc się po wypitym jednym haustem kuflu.

I posypały się wspomnienia figli studenckich, owe przenoszenia szyldów kupieckich z ulicy

na ulicę, przewracanie budek przekupniów, przekomarzanie się z dziewczętami, bójki z filistrami, pojedynki na rapiery, pijatyki bez miary i opamiętania i pokuty w karceresie.

Ktoś przypomniał jednego z weselszych kolegów. Niema go już na ziemi. Umarł. Uczcić go! „*Salamander reiben!*“

Więc ujęli kufle czterej posiwiali dygnitarze i, trąc je o stół, nucili cichym głosem: „*Salamander, Salamander!*“

Ktoby ich widział w tej chwili, myślałby, że dostali obłędu;... z taką powagą, z takiem przejęciem się wykonywali czynność śmieszną, bezmyślną. Stare dzieci przypomniały sobie nieopatrzną młodość, którą lada drobnostka zadowala, i były szczęśliwe...

— Dzielny to był chłop—odezwał się radca szkolny.— Szkoda, że nas tak wcześnie opuścił, że nie doczekał dzisiejszych czasów, których tak pragnął. Czy pamiętacie jego mowy patryotyczne, jego marzenia o połączeniu się Niemiec, o liberalnym rządzie, o parlamencie. Profesorowie nasi nazywali go demagogiem — a przecież wiemy dziś wszyscy, że Fryc miał dobre przeczucie. Ktoby się był tego spodziewał! W Berlinie obraduje parlament, rząd oparł się na stronnictwie narodowo-liberalnem, ministrowie

i generalowie przemawiają, jak my, z przed laty trzydziestu. Austrya pokonana, mniejsze państwa niemieckie, owe nieszczęsne księztewka, które nie pozwalały wierzyć w prawdziwość legendy o Barbarosie, nie istnieją już, a Prusy sposobią się do wielkiej, ostatecznej akcyi politycznej.

— Prawda, prawda, zrobiliśmy wiele w ostatniem dziesięcioleciu—potwierdził dyrektor gimnazyum.—Jeżeli tak dalej pójdzie, staniemy niebawem na czele Europy.

Zawadza nam dotąd tylko Francya — dodał dyrektor sądu. — Podobno sfinks tuileryjski znów coś knuje; dałby Bóg, aby się ta głupia sprawa hiszpańska pokojowo zakończyła.

— Napoleon nie da sobie rady z naszym Bismarck'iem. To wielka, to genialna głowa— prawił radca szkolny.—Choćby zresztą przyszło do krwawego starcia, możemy mieć nadzieję, że wyjdziemy z niego zwycięzko. Niema dziś w Europie karniejszej armii nad pruską, niema nigdzie zdolniejszych, wykształceńszych oficerów, niema lepszej administracyi od naszej na całej kuli ziemskiej.

— Zapewne, zapewne — wtórowali obaj dyrektorowie.

— Możeby nawet dobrze było, gdyby przyszło do wojny, możeby się położenie raz wyjaśniło — mówił radca szkolny, zapominając o swej powadze, bo zaczął machać rękami. — Posiadamy dotąd za mało znaczenia, za mało wpływu na losy innych narodów. *Deutschland, Deutschland über Alles*!—zawołał, zapalając się, suchy, szczupły, kościany dziadek.

Był w tej chwili znów młodym, studentem, marzącym o wielkości Niemiec. Byli młodymi i dwaj jego koledzy.

Tylko jeden z nich, ów wysoki, przystojny mężczyzna, nie mieszał się do rozmowy od chwili, kiedy ta weszła na tory polityczne. Ściągnąwszy brwi i pochyliwszy głowę, słuchał słów towarzyszów w milczeniu, cichy, skupiony w sobie. Czasem podnosił czoło, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz schylał je za każdym razem, dotykając prawie twarzą kubka, napełnionego piwem.

— A ty, Hans, dlaczego nie cieszysz się razem z nami wielkością Niemiec?—zagadnął radca szkolny. — Przecież należałeś i ty kiedyś do tak zwanych demagogów, do marzycielów politycznych. Pamiętam bardzo dobrze twoją mowę na komersie w Heidelbergu.

Zagadnięty drgnął i pochylił się jeszcze niżej.

— Daj mu pokój, — wyrzekł dyrektor sądu.—On Polak, on nie lubi Niemców.

— Nie żartowałbyś, Willy. Hans Polak? Zkąd, z jakiej racyi?

— Ożenił się z Polką i siedzi pod jej pantoflem.

— Czy być może?

— Spolszczył się dla miłości żony i wychował nawet syna po polsku.

— Hans, czy to prawda? To nie może, nie powinno być. Ty, potomek rycerzów niemieckich, którzy wojowali jeszcze pod sztandarami Barbarosy, ty, dowódca naszych tajnych stowarzyszeń studenckich, ty miałbyś się dla spódnicy sprzeniewierzyć idei wielkich, zjednoczonych Niemiec? Hans, powiedz, że to żarty! — prosił radca szkolny.

Ale Hans milczał. Ciężko tylko podniosła się jego pierś i stłumione z niej wypełzło westchnienie.

Wtem rozległy się na ulicy głośne okrzyki:

— *Extrablatt! Extrablatt!* — wołali chłopcy redakcyjni miejscowej gazetki, biegający po mieście z jakąś niezwykłą nowiną.

— Co się stało, co się stało?

W sali hotelu wszczął się ruch. Goście wy-

padali bez kapeluszów przed dom i rozchwytywali zadrukowane kartki.

Przez kilka minut zaległo miasto grobowe milczenie. Ludzie stali, jak porażeni ogniem niebieskim. Zbyt silnie uderzyła ich spodziewana, a jednak nagła wieść.

Potem rozpłynął się po ulicach cichy, bojaźliwy szept, który rósł... głośniejszy, coraz głośniejszy, aż zaszumiało w powietrzu, jak łoskot fal morskich, pryskających z wściekłością o twardą przeszkodę skalistego brzegu: wojna, wojna!...

Wojna!

Wczoraj wiały jeszcze jasne błękity pokoju nad pracowitą Europą, a dziś osnuły czarne, w błyskawice i pioruny brzemienne chmury widnokrąg polityczny

Drżą druty telegraficzne, skrzypią pióra dyplomatów i dziennikarzów, dudnią prasy drukarskie, a gdzie iskra elektryczna, straszną niosąca nowinę, w szalonym zatrzyma się biegu, gdzie przemówi telegram, tam ustaje na czas pewien zwykły trud dzienny, tam opadają ręce najpilniejszemu i bije serce żywiej w piersiach najobojętniejszych.

Wojna, wojna! — toczy się szerokiem kołem, od wsi do wsi, od miasta do miasta, od kraju do kraju, za góry, za morza, za oceany.

Wojna! — szepczą miliony pobladłych kobiet...

— Wojna! — woła radośnie młodzież, skora do wielkich czynów, potężnych wrażeń żądna i wzruszeń.

Bonaparte nie życzy sobie, aby Hohenzollern zasiadł na tronie hiszpańskim... poseł Francyi obraził króla Prus, więc rykną działa, jęknie ziemia pod kopytami koni, tumany kurzu i dymu wzbiją się nad lśniącemi wojskami i poleje się krew tysięcy: ojców, mężów, narzeczonych, braci i synów.

— *A Berlin à Berlin!* — rozlega się na ulicach Paryża.

— *Nach Paris! nach Paris!* — odpowiada echo z pod Lip berlińskich.

Czegoż chcą ci ludzie? Cóż obchodzi samolubnego filistra niemieckiego korona iberyjska, cóż zręcznego robotnika francuskiego ukryta gra dyplomacyi? Dlaczego wspinają się dwa narody, jak dwaj rozpętani olbrzymi, groźni, z pięścią, zwiniętą w łęk, dyszące chciwością cudzej krwi i cudzej własności!

Nie osadzenie stolicy hiszpańskiej roznamiętniło tak bardzo dwa cywilizowane ludy, odbierając im przytomność i rozwagę. To buchnęła krwawym płomieniem dawna nienawiść sąsiedz-

ka i odnowiły się rany, zadane kiedyś dzieciom Germanii przez nieubłagany miecz szczęśliwego cezara Gallów. On deptał zwycięzką stopą karki potomków Armina, on zaprzągł do swego rydwanu wszystkich władców niemieckich, pędząc przed sobą wojska ich, aby ginęły za niego.

Teraz nadeszła chwila odwetu, i spełnią się przepowiednie natchnionych pieśniarzów z czasów wojen o niepodległość. Stary Barbarosa przebudzi się w Kyfhaüser'ze i pobłogosławi orężowi praprawnuków tych, z którymi ciągnął niegdyś przeciw niewiernym Wschodu. Niemcy podniosą się, złączą i będą szczęśliwe...

Tak głoszą biuletyny wojenne, tak przekonywają gazeciarze. Przypomniano sobie naród i jego marzenia, wypisano na sztandarze hasła... ideologów, te same hasła, za które osadzano jeszcze niedawno „Młodych Niemców" w podziemiach fortecznych.

Wojna, wojna! — dudni nad ziemią niemiecką, jak daleki łoskot zbliżającej się burzy, głośniej, coraz głośniej. Badeńczyk, Wirtemberczyk, Bawar, Sas i Prusak, południowi i północni Teutonowie spletli dłonie w bratnim uścisku, — aby pójść razem przeciw narodowi, którego nazywają wrogiem odwiecznym, *Erbfeind'em*.

Dniem i nocą pracują władze wojskowe, ludwisiarnie, kuźnie, fabryki i koleje żelazne. Szybko, jak myśl, pędzą rozkazy od sioła do sioła. Otwierają się pałace, domy i chaty, a z każdego i z każdej wychodzi wojownik, śpieszący na miejsce zborne. Idą za nim łzy, westchnienia, skargi, lecz on nie ogląda się po za siebie. Przyszedł „order“ — stanąć trzeba. Na to niema rady.

Jeszcze nie minął tydzień, a już sposobią się sta tysięcy do wymarszu.

— *Nach Paris, nach Paris!*

II.

Wrzaski chłopców redakcyjnych dotarły i na pierwsze piętro wielkiego domu, znajdującego się na rynku, obok sądu.

W salonie, wysłanym kobiercami, zastawionym wykwintnemi meblami, siedziała przy czarnym, hebanowym stole niemłoda już kobieta, zajęta przerzucaniem warszawskich *Kłosów*.

Schylona nad ilustracyą, przewracała jedną ręką karty czasopisma, a druga podparła głowę, oświetloną słabo blaskiem lampy, przyćmionej różową zasłoną.

Choć lata nie przeszły po jej twarzy bez śladu, nie zdołały jednak zniszczyć rzeźbionych, wyrazistych rysów, odcinających się wydatnie na tle półcieniów, jakie zalegały pokój. Kontury czoła, nosa i brody tworzyły prawie linię prostą, a wielkie błękitne oczy, które wyglądały

z pod zagiętych łuków jasnych brwi, lśniły dotąd blaskami młodości. Tylko gęste sieci zmarszczek, rozchodzące się od końca jam ocznych ku skroniom, i pożółkła płeć zdradzały wiek posunięty.

Pani Jadwiga z Różanowskich, małżonka Hansa von Frankenstein, doktora praw i radcy sprawiedliwości, słynnego na kilka powiatów adwokata, należała kiedyś do najurodziwszych panien Poznańskiego. Mnóstwo wielbicielów okrążało gwiazdę balów i wieczorków, ale żaden z tancerzów nie zbliżył się do niej z zamiarami poważniejszemi, piękna bowiem panna nie miała posagu. Ojciec jej, szlachcic wioskowy, stracił fortunę i umarł, zostawiwszy wdowę i córkę bez środków do życia.

W tym czasie zjawił się w okolicy młody, przystojny, zdolny adwokat, potomek starożytnej rodziny niemieckiej. Rozkochał się w pannie, oświadczył się, obiecał przyjąć narodowość narzeczonej i ożenił się.

Pan Hans von Frankenstein dotrzymał słowa. Nauczył się po polsku i starał się w domu mówić językiem ukochanej małżonki, niezrażony trudnościami, jakie spółgłoski słowiańskie sprawiają każdemu Niemcowi.

I żyli szczęśliwie przez długie lata, Niemiec z Polką, robiąc sobie wzajemne ustępstwa.

Adwokat nie chodził do „knajp", przenosił bowiem pieszczoty dziecka nad puste rozmowy przy piwie, a małżonka jego nie wymawiała się nigdy od wizyt, które pan Frankenstein musiał od czasu do czasu składać zwierzchnikom swoim i kolegom, aby utrzymać konieczne stosunki towarzyskie.

Lecz od kilku lat zaczęło się coś psuć w dobranem zrazu i zgodnem stadle.

Pan Frankenstein, który był oficerem landwery, wezwany w r. 1866 pod broń, odbył całą kampanię austryacko-pruską i wrócił z niej innym, aniżeli poszedł.

Od czasu owej wojny wychodził częściej z domu, a gdy odurzył się sokiem jęczmiennym, prawił o posłannictwie Niemiec, o geniuszu Bismarck'a, o dzielności armii pruskiej i o tym podobnych wielu rzeczach, o których poprzednio nie było nigdy mowy.

Raz nawet oświadczył żonie. że swego jedynaka odda do wojska i każe mu służyć na awans.

Wyspawszy się jednak i wytrzeźwiwszy, zapominał nazajutrz o wczorajszych majaczeniach

i mówił znów po polsku, jak dawniej, jak przed wojną, i nie opierał się, gdy syn jego, Bolesław, po skończeniu szkół, postanowił zostać lekarzem, aby „nie potrzebował kłaniać się Niemcom“, jak się młodzieniec wyrażał.

Mimo to jednak stanęło coś między małżeństwem, jakby cień trzeciej osoby, odsuwającej powoli męża od żony dalej, coraz dalej.

Czuli to oboje i dlatego omijali troskliwie wszelką politykę.

Od tygodnia zmieniał się ciągle wygląd widnokręgu politycznego, to chmurny, to nieco jaśniejszy. Sprawa obsadzenia tronu hiszpańskiego niepokoiła Europę.

Pan Frankenstein czytał dzienniki chciwiej, pilniej, aniżeli to zwykle czynił, lecz nie dzielił się z żoną swojemi spostrzeżeniami. Po obiedzie zapalał cygaro i wychodził do swego gabinetu, a wieczory przepędzał w hotelu Müller'a.

Nieprzywykła do takiego życia męża, usiłowała pani radczyni wybadać go, dowiedzieć się powodów jego milczenia, lecz on zbywał ją półsłówkami.

— Co ciebie to może obchodzić! — fuknął dziś, wychodząc na miasto.

Co ją to może obchodzić? Pani Jadwiga

z Różanowskich nie była żoną bierną. Ją obchodziła każda myśl męża, każdy jego czyn, każdy smutek. Ona wiedziała dotąd o wszystkiem; bez niej nie działo się nic w domu.

Lat dwadzieścia pięć żyli z sobą, a nigdy nie przemówił do niej mąż w sposób tak szorstki, tak wręcz odmowny.

— Co się Jasiowi stało? Dlaczego on taki rozdrażniony, taki dziwny? Może mu się nie udało przeprowadzić jakiej ważnej sprawy, może przegrał proces, na który liczył! Ale w takich razach spowiadał mi się dawniej zawsze ze swych niepowodzeń i uspokajał się, gdy go pocieszyłam, uścisnęłam.

Pani radczyni myślała przez cały dzień o niewytłómaczonej zmianie, jaką spostrzegła od pewnego czasu w mężu.

A teraz przerzuca tylko machinalnie kartki *Kłosów* i nie widzi obrazków, choć im się pozornie bardzo uważnie przypatruje.

— Co mu się stało? — szepczą jej blade, wązkie usta.

— *Extrablatt, Extrablatt!* — rozlega się w tej chwili na ulicy.

Radczyni drgnęła, podnosząc głowę.

— *Extrrrrablatt!* — wrzeszczy chłopiec, który przeleciał pod samemi oknami.

Wśród wieczornej ciszy małego miasta robi nagła wrzawa przerażające wrażenie.

Radczyni biegnie do okna, przykłada twarz do szyby i patrzy na rynek. Mnóstwo ludzi roi się przed domem, a wszyscy otaczają latarnie i czytają coś w milczeniu. Potem rozstępują się i biegną na różne strony, a wszyscy wywijają rękami, jakby komuś grozili.

Już sięga radczyni po dzwonek, aby się dowiedzieć od służby o powodzie zbiegowiska, kiedy do salonu wpada stróż domu i woła:

— Chrancuzy bijom Miemców!

— Co się stało? — pyta pani.

— Bijom, jak Boga kochom, bijom, byndom bili, wykropiom im skóre, wygrzmocom ich, jak się patrzy!

— Kogo biją, gdzie biją?

— Chrancuzy, Chrancuzy Miemców! — krzyczy sługa, jak opętany, a oczy jego błyszczą z radości.

— Nic nie rozumiem, mów porządnie, Wojciechu.

Ale Wojciech macha tylko rękami, naśladując cięcie szablą, i mruczy:

— Dobrze im tak, wontrobnikom!

— Komu?

— Miemcom! Komużby, proszę tyż jaśnie pani. Tak to psiarstwo shardziało, co nie przystępuj bez kija. Ale tero to im Chrancuzy dadzom, oj dadzom nie chleba! Opowiadali mi dziaduś, co Chrancuzy okrutnie bijom, kiej sie rozsierdzom. Byndzie wojna, wielgo wojna, jak nieprzymierzajonc za czasów dziadusia.

Wojna!

Radczyni zrozumiała nareszcie, o co idzie.

— Mój syn, mój syn — szepnęła, załamując ręce.

— O dla Boga — wyrzekł Wojciech — na śmierć zapomniołym, co nos z paniczem popendzom do Chrancyi, za góry, za morza. Panicz żołnierz, jo jakoby żołnierz, to ta o nos te pludry nie przepomnom; o Panno Najświntszo, o Matko Bosko!

I opuścił Wojciech głowę, kiwając nią strapiony.

Lecz po chwili podniósł czoło i machnąwszy ręką, odezwał się:

— Co tam! Domy sobie z paniczem rade. Niech sie ta jaśnie pani nie kłopoto. Kiej nie pójdzie inaczej, to przystaniemy do Chrancuza i wej tyla. A swygo to ta bić nie byndziemy, bo Chrancuz to kiejby nasz. On mo tyż pol-

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna

skom wiare. Niech ta nos popendzom, a co im skóre ogrzmocom, to im ogrzmocom.

Lecz radczyni była innego zdania. Mówiono tak samo przed wojną austryacką, a nie tak się stało, jak się powszechnie spodziewano. Orły pruskie wróciły do kraju, uwieńczone wawrzynem sławy, zwycięztwa. Habsburgowie ukorzyli się przed Hohenzollern'ami.

Cóż jednak mogły obchodzić Polkę tryumfy niemieckie? Ona miała syna, a ten syn, ten jedynak, musi iść na wojnę i walczyć za sprawę cudzą. To być nie może; ona, matka, nie pozwoli na to.

— Wojciechu, śpiesz do miasta i poszukaj pana — wyrzekła radczyni.

Rozkaz był niepotrzebny, bo właśnie otworzyły się drzwi i do salonu wbiegł pan von Frankenstein. Oczy jego sypały iskrami, twarz zarumieniła się, wysoka postać wyprostowała się.

— *Krieg, Krieg mit dem Erbfeind* — zawołał radca z progu.

Po raz pierwszy to od lat wielu przemówił do żony po niemiecku.

Zdziwiona wybuchem niezrozumiałego dla niej zapału, spojrzała radczyni na męża z przestrachem.

— Jasiu, ty się radujesz, a syn nasz...

— *Mein Sohn wird für sein Vaterland kämpfen, wie alle seine Vorfahren* — mówił radca, nie pozwalając żonie dokończyć.

Co to było? Syn jej ma walczyć za ojczyznę niemiecką, za swoją ojczyznę, jej syn, jej Bolesław, który nienawidzi Niemców? Ten człowiek chyba oszalał.

— Mężu, zastanów się, co mówisz...

— Co mówię, — odparł radca już po polsku. — Co mówię, pytasz? Mówię to, co powinienem mówić, jako Niemiec i potomek rycerzów. Szczęśliwy jestem, że mam syna, który może walczyć za ojczyznę swych przodków.

— Mężu...

— Tak, za ojczyznę swych przodków! — wołał radca, przerywając żonie. — Nie matka daje życie, lecz ojciec. Syn mój jest Niemcem tak samo, jak ja, jego rodzic, i Niemcem być musi, bo inaczej...

Nie dokończył groźby. Zamruczał tylko coś pod wąsem i wyszedł do swego gabinetu.

Długo patrzyła radczyni na drzwi, które się za jej mężem zamknęły. Patrzyła na nie, jak się patrzy na coś strasznego, a nieprzewidzianego... Potem przesunęła rękę po czole i sze-

pnęła głosem cichym, jakby się dopiero co z ciężkiego przebudziła snu:

— Prawda, on jest Niemcem...

Dwie wielkie łzy sperliły się w jej źrenicach i zadrżawszy na rzęsach powiek, staczały się wolno po bladych policzkach.

— Prawda, on jest Niemcem... — powtarzały jej usta.

III.

Północ już dawno minęła.

Na ulicach miasteczka ucichła wrzawa, pogasły światła w latarniach i w domach. Ludzie udali się na spoczynek, zmęczywszy się powtarzaniem i rozbieraniem niewesołej nowiny.

Tylko z po za jedwabnych firanek, zasłaniających okna gabinetu radcy Frankenstein'a, wypływa żółtawa smuga.

Ktoś chodzi na górze na pierwszem piętrze, a chodzi niespokojnie, raz szybko, to znów wolno. Czasem staje przed szybami i spoziera na rynek, który wygląda jak bezdenna otchłań, ponuremi strasząca ciemnościami.

To mocuje się radca z sobą od kilku godzin.

Rozmowa z kolegami wpadła do serca jego wichrem, który rozdmuchał stłumione tam iskry. Niema już dla niego spokoju, niema snu bez snów...

Dlaczegóż to musiał przybyć właśnie teraz na partykularz ów nieszczęsny radca szkolny, teraz, kiedy od głośnego zajścia u wód emskich między królem Prus a posłem Francyi cała prasa niemiecka nawoływała do „poskromienia odwiecznego wroga Germanii," kiedy najpoddanniejszy poddany stał się nagle gorącym patryotą, przypominającym sobie hasła „narwańców" politycznych, najlichszy świstek prowincyonalny rozwodził się nad „testamentem Barbarosy," najmarniejszy filister nadymał się i zapalał, niby bohater.

A on? On, potomek rycerzów niemieckich, którzy krew swą przelewali na wschodzie i zachodzie, on, znany marzyciel polityczny z epoki po roku 1830, wahał się, nie wiedząc odrazu, dokąd myśli swe zwrócić.

W kącie gabinetu, między rupieciami, leżały porzucone, kurzem pokryte rapiry.

Wytoczył on niemi niejedną kroplę krwi z czerepów zuchwalców, którzy śmieli wątpić o jego odwadze. Raz pokiereszował straszliwie jakiegoś Anglika, co wymyślał Niemcom, „narodowi lokajów."

Nad szezlongiem, na ścianie, między różnemi obrazkami, wisiały pamiątki z czasów studenckich radcy. Była tam cerewizka, były wstę-

gi *Burschenschaft'u*, był nawet ogromny kufel honorowy, który swemu „*Fuchsmajor'owi*“ wręczyli kiedyś komilitonowie.

Ileż to razy wskakiwał, ubrany w tę śmieszną, a jednak tak drogą dla każdego młodzieńca niemieckiego czapeczkę, na pierwszy lepszy stół w „knajpie“ i prawił „burszom“ o nowej epoce, co zniszczy ogniem i mieczem „ciasny obskurantyzm biurokratyczny.“ Za jedną z takich mów odpokutował nawet w podziemiach Szpandawy.

Cudowne to były czasy, prześliczne!...

Od lat dziesięciu zmieniło się bardzo wiele. Majaki „Młodych Niemców“ przestały być śmiesznemi nadziejami. Sam rząd wypisał je na swoim sztandarze i dążył do ich wcielenia. Posłowie przemawiali w sejmie, publicznie, głośno, daleko śmielej aniżeli „najprzewrotniejszy zapaleniec“ z przed roku 1848-go, a ministrowie liczyli się z gorącem słowem wybrańców narodu.

Radca spotykał się niejednokrotnie w dziennikach z nazwiskami swych dawnych kolegów. Pracowali oni wszyscy na arenie publicznej, dorzucali wszyscy własną cegiełkę do wspaniałej budowy jednoczących się Niemiec; tylko on jeden zaszył się gdzieś, na skraju wschodnim „*Vaterlandu*,“ bezczynny, zapomniany.

Wielkie, niebieskie, wilgotne oczy pięknej Polki rzuciły na niego czar; serdeczny uśmiech małych, różowych ust pokonał go; uścisk białych ramion oplótł go, jak wąż, i zdruzgotał w nim wszelką siłę odporną.

Radca żył od lat dwudziestu i kilku samolubnie, zapomniawszy w miękkich objęciach szczęścia domowego o obowiązkach obywatela niemieckiego.

Lecz teraz spadły na niego wspomnienia pierwszej młodości z całą siłą powstrzymywanych, spętanych potęg. Przebudził się w nim Germanin, świadomy żywotności swej rasy.

Zbyt długo jednak żył radca w towarzystwie polskiem, by mu scena małżeńska mogła być obojętną.

Przejąwszy się obyczajami i pojęciami narodu, do którego należał pośrednio przez związki krwi, przywykł szanować w swej połowicy nietylko pierwszą sługę, gospodynię domu, lecz także towarzyszkę, przyjaciółkę.

Ofuknął żonę, przemówił do niej szorstko, stanowczo, jak do kogoś, którego wierzeń i kochań niepotrzeba uwzględniać.

O, bo dlaczegóż nazwali go koledzy z takim przekąsem „Polakiem," dlaczegóż uśmiechali się ironicznie, gdy to mówili?

Nie, on nie jest Polakiem; on jest Niemcem z prapradziada. Czuje to dziś, kiedy nad krajem rozbrzmiał okrzyk: wojna z odwiecznym wrogiem!

Radca jest Niemcem, ale i kochającym mężem Polki. Miłość do ojczyzny i do ogniska domowego, do żony i syna, walczą w nim, jak dwie furye, zapuszczające w jego serce ostre szpony. Walczą i szamoczą się z sobą, każda żądna zwycięztwa.

Temu lat piętnaście, dwadzieścia, byłaby druga potęga została panią placu boju, dziś jednakże, kiedy lica radczyni zaczęły już więdnąć, a szał miłosny zmienił się w pospolite przywyknięcie męża do żony, przemogło uczucie starsze, wyssane z piersi matki.

— Dlaczegóż masz się ty stosować do żony swej, do dziecka?—buntowało go owo uczucie. — Twoja wola powinna być w domu jedyną, świętą.

— A gdyby już było za późno? — przekładał rozum.

— Za późno? Nigdy nie jest za późno do naprawienia błędu, który się popełniło — odpowiadała krew.

Radca wyprostował się i wyprężył po za siebie ramiona tak silnie, że wszystkie członki

trzasły w stawach. Bolał go każdy nerw, wystygło ciało. Był zmęczony, jak po ciężkiej pracy.

Zadzwonił.

Zaspany sługa wszedł do gabinetu i pomógł rozebrać się panu.

Długo jeszcze przewracał się radca na posłaniu, zanim się sen-dobrodziej nad nim zmiłował.

Jasną, złocistą kulą, jak gdyby się nic nie było stało, wzeszło nazajutrz słońce. Woniały róże, rezedy i gwoździki, dojrzewały zboża, wybijały się nad stropy niebieskie szare skowronki, niby srebrne dzwoneczki, brzęczały pszczółki, przenosząc się z kwiatka na kwiatek, jak wczoraj i przedwczoraj.

Obojętna na cierpienia rodu człowieczego przyroda nie ustroiła się w szaty żałobne, nie zapłakała łzami niebios. Ani jedna chmurka nie płynęła w lazurach.

Tylko ludzie płakali. Skarżyły się matki, żony, siostry, narzeczone, skarżyły się wszystkie niewiasty. Bo mężowie ich, synowie, bracia i kochankowie, należący do wojska, otrzymali już rozkaz wymarszu.

Nazajutrz po ogłoszeniu wojny gotowało się kilkadziesiąt tysięcy rezerwistów do dalekiej, może bezpowrotnej drogi.

Z bólem głowy podniósł się dziś radca Frankenstein z miękkiego łóżka. Niespokojny sen nie pokrzepił go wcale.

Radczyni czekała na męża w pokoju stołowym, jak zwykle, ze śniadaniem.

Kiedy wszedł, chciała się podnieść, aby go powitać na dzień dobry uściskiem, lecz głos jego zatrzymał ją na krześle.

— *Guten Morgen!* — wyrzekł pan Frankenstein, siadając na swojem miejscu.

Guten Morgen? Nie temi słowy pozdrawiał dawniej radca żonę. A jeśli kiedyś użył swej mowy ojczystej, jeśli przemówił do połowicy po niemiecku, to nie robił na niej dźwięk obcego języka przykrego wrażenia.

Dlaczego wydawało się jej dziś, że ją mąż chce dotknąć, obrazić?

Bo i ona przepędziła wieczór wczorajszy na samotnem rozmyślaniu i przypomniała sobie dom rodzinny, ojca, dziada i portrety antenatów. Jeden z nich wisiał na ścianie w starych ramach, a wyglądał zupełnie inaczej niż jej mąż.

I ona czuła teraz, że nie jest Niemką.

Ktoś trzeci stanął między dwojgiem ludzi, skutych ślubem dozgonnym, i oddalał ich serca

od siebie. Szept krwi to był, wiekowych tradycyj owoc niespożyty.

W milczeniu spożywali małżonkowie śniadanie. On jadł bifsztyk, popijając go czerwonem winem, ona maczała ciastka francuskie w herbacie.

Od czasu do czasu spoglądali na siebie krótko, badawczo. Jego oczy patrzyły z pod ściągniętych brwi ponuro, jej źrenice błyszczały szklisto... świadkowie przepłakanej nocy.

Od godzin kilkunastu przybyło radczyni dużo zmarszczek wokoło ust, cera jej twarzy zżółkła jeszcze więcej, a włosy, uczesane zwykle starannie, spadały w nieładzie na pochylone czoło.

Widział to radca i nie śmiał się odezwać, zbyt długo bowiem żył z żoną w zgodzie i miłości, aby mu jej smutek mógł być obojętnym.

Siedzieli tak naprzeciw sobie, nie mówiąc ani słowa.

On przerzucał świeże dzienniki, ona połykała gorzkie łzy.

Wtem otworzyły się drzwi salki jadalnej i wszedł młody mężczyzna w mundurze pruskiego oficera piechoty.

— *Mein Sohn, mein lieber Sohn!* — zawołał radca, rzucając gazety.

— Mój syn, moje dziecko! — krzyknęła radczyni, rozchylając ramiona.

Zerwali się oboje z krzeseł, biegnąc do młodzieńca, który objął ich kolana i całował ich ręce.

Średniego wzrostu, zbudowany dobrze, odziedziczył pan Bolesław Frankenstein rysy po matce. Nie miał on podługowatej głowy ojca, lecz okrągłą, słowiańską czaszkę przodków po kądzieli. I ruchy miał żywe, i kontury twarzy zarysowane wyraźnie, ostro, jakby wyrzeźbione. Wyniosłe czoło sklepiło się nad parą siwych, bystrych oczu.

Syn radcy nie wdał się wcale w ojca. Był to suchy blondyn z dumą i energią na zwartych szczelnie ustach.

Przywitawszy się z rodzicami, rzucił się na krzesło i, wyciągnąwszy nogi przed siebie, odezwał się:

— A to im śpieszno, proszę! Wystawcie sobie, kochani rodzice, że przysłano mi rozkaz stawienia się już nazajutrz po owej awanturze w Ems z Benedettim. Miałem zaledwie czas kupić sobie mundur i przylecieć z Berlina na kilka godzin, by się z wami pożegnać. Jutro muszę ruszać do Poznania, na punkt zborny naszego pułku.

— A gdzie Wojciech? — zapytał nagle, oglądając się po za siebie. — I on powędruje z nami na wojenkę.

Wojciech stał obok lokaja przy stoliku, na którym kipiał samowar, wyprostowany, sztywny, jak gdyby skamieniał. Gdy się młody Frankenstein do niego zwrócił, upuścił serwetę i podnosząc prawą rękę do skroni, odparł głosem gardlanym:

— *Zu Befehl, Herr Lieutenant!*

Mundur oficerski podziałał na żołnierza pruskiego, jak straszydło. Przeraził go i odjął mu giętkość członków.

— Głupiś, Wojtku! Co ty będziesz do mnie gadał po szwabsku — zawołał pan Bolesław Frankenstein.

— *Zu Befehl, Herr Lieutenant!*

— Zwaryowałeś, czy co?

— *Zu Befehl...*

— Przestańże klekotać tym językiem; wiesz, że go nie lubię — przerwał oficer słowa sługi, a podszedłszy do niego, schwycił go za rękę.

— Jak się masz, fujaro!—zawołał.—Będziesz na wojnie moim „burszem". Czy chcesz?

— *Zu Be...* o lo Boga, jaki tyż to panicz zawdy grzeczny. Żeby tyż ta Pon Jezus pani-

czowi szczęściuł — mówił Wojciech, całując prawicę oficera.

— A boisz się Francuzów?

— Co sie nie mom boć? Uni tęgo bijom, prosze tyż panicza. Powiadali mi dziaduś, co Chrancuzy to nie takie, jak te smyki Miemcy.

— A bo to my nie potrafimy bić, hę?

— O lo Boga, i jak.

— A widzisz. Nic nam tam nie będzie; nie damy się połknąć tym czarnym dyabłom z Afryki, których podobno Napoleon wysyła na pierwszy ogień. Zbieraj manatki i bądź gotów, bo wieczorem jazda do Poznania.

— *Zu Befehl, Herr Lieutenant!*

Wojciech wyprostował się znów, przyłożywszy ręce do szwów spodni.

Wracając na swoje miejsce przy stole, spojrzał młody Frankenstein na matkę. Spostrzegłszy łzy w jej oczach, przypadł do niej, zgiął kolana i mówił:

— Nie płacz, mateczko, nie lękaj się o mnie. Wprawdzie nie należę do tchórzów, lecz nie widzę zupełnie powodu do narażania się dla niemieckiego *Vaterland'u*. Jest tysiące sposobów oszczędzania się podczas wojny, gdy się nie chce walczyć. Nie smuć się, mateczko, wrócę do ciebie cały, zdrów, choć bez orderów,

które są ci pewnie obojętne, tak samo jak i mnie.

— Pamiętaj o sobie, mój synu, i o starej matce pamiętaj, błagam cię, moje jedyne, ukochane dziecko — szeptała radczyni, rosząc czoło młodzieńca obfitemi łzami.

A radca marszczył brwi i przygryzał wąsa. Już od pierwszej chwili, kiedy oficer zaczął rozmawiać z Wojciechem, zgasł na jego twarzy odblask radości, wywołanej widokiem syna. Teraz targnął się za brodę i wyrzekł po niemiecku:

— Proszę cię na chwilkę do siebie, do gabinetu.

Młody Frankenstein, który odwykł od tego, aby z nim rodzice rozmawiali językiem Armina, spojrzał zdziwiony na ojca. Podniósł się jednak z kolan i udał się do pracowni rad ..

IV.

Długo chodził radca po miękkim kobiercu gabinetu, zanim przemówił do syna, który czekał przy oknie na słowa ojca.

Nareszcie zatrzymał się przed biurkiem, a wskazawszy ręką czarne, prawie zatarte płótno, wiszące na ścianie w zużytych, zniszczonych ramach, zapytał po niemiecku:

— Czy znasz ten portret?

— Jest to pierwszy twój przodek historyczny — odpowiedział młody Frankensztein po polsku.

— I twój także.

— Bezwątpienia, i mój, ojcze.

— A czy wiesz, czem się ten nasz pierwszy przodek wsławił?

— Wiem; walczył podczas wojen krzyżowych bardzo mężnie przy grobie Chrystusa.

— I czem jeszcze?

— Był wiernym towarzyszem Rudobrodego Hohenstaufen'a.

— A do czego dążył ten Hohenstaufen?

— Pragnął wywalczyć dla Niemiec prymat wobec Europy i Stolicy Apostolskiej.

— Marzył pierwszy o wielkich, zjednoczonych, potężnych Niemczech — dodał radca, prostując się.

— Uczyłem się tego w szkole, ojcze, lecz nie rozumiem, dlaczego mnie egzaminujesz z historyi—wyrzekł młody Frankenstein.—Wszakżeż kształcę się obecnie na lekarza.

— Chciałem ci przypomnieć, że pochodzisz ze znakomitego rodu niemieckiego.

Ostatni wyraz podkreślił radca głosem i spojrzał uważnie na syna.

— Rzeczywiście, noszę po tobie nazwisko niemieckie—odezwal się syn, nie domyślający się zupełnie celu tej rozmowy.

— Wziąłeś po mnie nietylko nazwisko, lecz krew, serce, instynkta i tradycye, wziąłeś całą istność moją.

Znów ogarnął radca syna badawczem spojrzeniem, lecz oficer milczał.

— Dlaczego nie potwierdzasz słów moich? — zawołał ojciec podniesionym głosem.

— Mam także matkę, ojcze — odparł syn.

— Nie matka, lecz ojciec daje życie.

— Czasem bywa wpływ matki silniejszym, aniżeli ojca, jak np. w naszem położeniu. Ty dałeś mi życie, lecz twarz, postać, temperament, upodobania odziedziczyłem po antenatach moich po kądzieli, z czego jednak nie wynika wcale, abym ciebie, rodzica mojego, nie miał równie kochać i czcić, jak matkę.

— To nieprawda! — krzyknął radca.

— Ojcze! — szepnął syn, dziwiąc się coraz więcej.

Radca zmieszał się. Czuł, że się zanadto uniósł, że wypadł z roli człowieka dobrze wychowanego. Odetchnął ciężko i wyrzekł cichym głosem:

— Synu mój, ty nie wiesz, że się we mnie przebudziło od niejakiego czasu sumienie niemieckie. Zagłuszałem je zbyt długo, a ono odezwało się teraz za to z taką siłą, że musiałem uledz.

Młody Frankenstein zrozumiał po tych słowach cel tej rozmowy. Zdawało mu się, że go ktoś chwyta zimną dłonią za gardło, że je ściska, tłoczy, grożąc uduszeniem.

Rozsunął powieki szeroko i patrzył przerażony na ojca. Rodzic wydał mu się w jednej chwili innym.

Prawda... jego ojciec był Niemcem, należał do narodu, którego on, syn jego, nie wielbił, nie ubóstwiał, z którym go nic nie łączyło.

I stali obok siebie dwaj ludzie, tak blizcy sobie i równocześnie tak dalecy. Tradycye tysiąca lat wpadły nagle między nich i rozerwały dwa serca, które powinny były tworzyć jedną całość.

Stali obok siebie smutni, złamani. Żal im było jasnego wczoraj, bo wiedzieli, że się jutro zachmurzyło na zawsze.

— Dlatego sprawiło mi wielką przykrość — mówił radca dalej, nie podnosząc głowy — gdy mówiłeś dziś z lekceważeniem o języku swoich przodków.

Ustał, czekając na odpowiedź, lecz syn milczał.

— I boleść mnie ogarnęła, gdy pozwoliłeś sobie żartować z wojny, która jest wyrazem wszystkich dążeń niemieckich bieżącego stulecia. Przecież i ciebie powinno to starcie się dwóch wrogich sobie narodów zapalić, rozgrzać, rozpłomienić, ciebie, syna mojego jedynego.

Syn nie potwierdził nawet spojrzeniem życzeń ojca.

Zniecierpliwiło to radcę, bo podniósł głowę i wyrzekł głośniej:

— Dlaczego nie zajmują cię ostatnie wypadki polityczne?

— Nie rozumiem, dlaczego miałbym nienawidzieć Francuzów — odparł syn.

— Francuzi współzawodniczą z nami od wieków; Francuzi deptali nas za czasów Napoleona I go bez litości, Francuzi — to nasi przeciwnicy rasowi!—wołał radca.

— Z nami? Kto są ci my?

— Z nami, z Niemcami!

— Ale ja nie jestem Niemcem.

— Jesteś, musisz być Niemcem! — huknął radca, zapominając się. — Byłeś i będziesz nim, jak byli nimi dziadowie twoi i pradziadowie.

— Nie byłem, ani nie będę — odpowiedział młody Frankenstein, zbladłszy, jak ściana, na której oparł zbolałą głowę.

— Milcz!

Radca poskoczył do syna z zaciśniętemi pięściami, z rozwianą brodą, lecz stanąwszy przed nim, opamiętał się.

Cofnął się; opadły mu ręce, schyliło się czoło.

— Boże mój, Boże! — szepnął ochrypłym głosem i osunął się na fotel.

Było to zawiele dla serca synowskiego.

Młodzieniec zbliżył się do ojca i, zgiąwszy przed nim kolano, mówił szybko, z pośpiechem przerażenia:

— Przebacz mi, ojcze, nie jam winien, że nie stałem się takim, jakimbyś sobie mnie dziś życzył. Wychowanie zrobiło mnie tem, czem jestem.

— Jeszcze czas nawrócić — mruknął radca, udobruchany pokorą syna.

— O nie, już zapóźno, już zrosłem się zanadto z tradycyami matki, abym mógł ukochać twoją nienawiść do Francyi.

— Synu mój — wyrzekł radca łagodniej, kładąc rękę na głowie jedynaka — zastanów się tylko. Czyż to nie lepiej być członkiem wielkiego, potężnego narodu, który ma przed sobą świetną przyszłość i może swych obywateli hojnie wynagrodzić, czyż...

— Nie kończ, nie kończ, ojcze; daremne są słowa twoje; nie wychowałem się w pojęciach utylitarnych.

— Bądź rozumnym, mój chłopcze...

— Przebacz, nie mogę...

— Daj się namówić, błagam cię...

— Nie mogę, nie mogę...

— Więc idź, tchórzu, i osłaniaj serce zajęcze przed kulami naszych wrogów — wyrzekł radca z mocą.

Młody Frankenstein zerwał się z kolan.

— Nie wolno, ojcze, nie wolno, nawet rodzicowi nie wolno znieważać dziecka — zawołał, prostując się dumnie. — O cóż ci idzie? O to, bym się bił z Fancuzumi? Dobrze, będę się bił, jak przodkowie moi po kądzieli, jak husarze z pod Wiednia, którzy zastawiali piersią swoją twoich antenatów. Niech nikt nie powie, że syn Jadwigi Różanowskiej stchórzył, kiedy inni konali. Lecz gdybym miał na polu bitwy usłyszeć dźwięki mowy rodzinnej, gdybym miał spotkać się tam za Renem, za Wogezami z którymkolwiek z ziomków moich, wtedy, przysięgam ci na miłość matki, rzucę szpadę pod nogi każdemu, ktoby mi kazał pójść naprzód. A teraz bywaj zdrów, ojcze, i nie obawiaj się, bo największy grad kul nie przerazi mojej odwagi. Wstydu ci nie zrobię.

— Bywaj zdrów — rzekł ciszej — i nie złorzecz mi, bo wina nie znajduje się po mojej stronie.

Radca wyciągnął ramiona do syna, lecz młody Frankenstein zwrócił się po wojskowemu na obcasie i wyszedł z gabinetu ojca.

Wieczorem tego samego dnia jechał Bolesław z Wojciechem do Poznania, na miejsce zborne. Żegnały go łzy matki i pogodna twarz ojca, który był szczęśliwym, że posyła swe dziecko na krwawy bój z odwiecznym wrogiem Niemiec.

V.

Trzema drogami wali się naród niemiecki ku południowi, trzy wielkie wojska spadają straszną lawiną, składającą się z żelaza i ognia, na wschodnią granicę Francyi. Ciągną Brandenbury i Pomory, Sasy i Bawary, Wirtemberczycy i Badeńczycy, śpieszy wszystko, co mówi językiem Goeth'ego i Schiller'a, nad Ren, nad zielony Ren, w którego falach przeglądają się ruiny zamków średniowiecznych.

Dniem i nocą pracują lokomotywy, płyną uzbrojene ludy, prowadząc z sobą konie i armaty, furgony i maszyny. Rozbrzmiewają dworce kolei żelaznych odgłosem różnego kruszcu i okrzykami tych, co zostają w kraju, przy bezpiecznych ogniskach domowych. Powiewają dziewice białemi chustkami, uchylają kapeluszów filistrowie: szczęść Boże wam, a wracajcie zdrowi, cali, zwycięzcami!...

Przeszło pół miliona młodych, silnych ludzi przygotowała administracya pruska do boju w przeciągu dwóch tygodni.

Piętnastego lipca roku 1870-go wydano w Berlinie rozkaz uruchomienia armii, a w końcu miesiąca rusza już cała linia i pierwsza rezerwa na krwawe stanowisko. Żołnierzom nie braknie ani jednego guzika, koniom ani jednego popręgu. Wszystko jest w porządku, nowe, dobre, obejrzane starannie.

Trzech wodzów prowadzi olbrzymią masę żywego ciała człowieczego, składającego się z 426 batalionów piechoty i 364 szwadronów jazdy, za któremi postępuje z głuchym trzaskiem 1,370 armat i 13 batalionów kretów wojennych, zręcznych pionierów z rydlami, piłami i młotkami.

Stary wilk wojny, posiwiały wśród dymu i wrzawy bitew, generał Steinmetz z białym, jak śnieg, włosem i z twarzą sępa, idzie na czele pierwszego oddziału. Drugą armię prowadził książę Fryderyk Karol, kawalerzysta z czarnym, junackim wąsem; trzecią następca tronu pruskiego.

A ponad wszystkimi naczelnikami wisi w powietrzu zdaleka buława marszałka Moltkego, suchego, ponurego oficera z wygolonem obliczem.

podobnego więcej do nauczyciela, do biurokraty, aniżeli do wojownika. Wyjął on z biurka plan dawno przygotowany, powiedział każdemu: pójdziesz tam a tam, staniesz na tem a na tem miejscu! i nikt nie ośmielił się nawet pomyśleć o nieposłuszeństwie, bo za szefem sztabu stoi powaga króla, który podpisuje wszystkie rozkazy, podyktowane przez Moltkego.

Armie idą, nie myśląc o jutrze. Aż do Renu podwieziono je kolejami żelaznemi. Teraz zdążają pieszo ku granicy francuskiej.

Spieszą wszyscy, pomieszani, rozrzuceni, Niemcy południowi obok północnych, choć się jeszcze przed miesiącem nienawidzili. Berlińczyk i Monachijczyk, pies i kot, piją z jednej manierki i śpiewają razem: *Die Wacht am Rhein!* aż budzą się widma zamkowe, zmartwychwstają upiory z grobów rycerskich i dziwują się tej zgodzie.

Nie biuletyny wojenne stworzyły ją, nie odezwy urzędów, lecz ów cichy, a mimo to tak głośny ludek, co z piórem w garści przepędza noce bezsenne przy zielonym stoliku i wylewa duszy swej marzenia, serca swego zachwyty na blady, martwy papier.

Papier jest niemy i cierpliwy, lecz, gdy wyjdzie z gabinetu pisarza i pofrunie w świat,

wówczas staje się istotą żywą, wymowną, ognistą i zapalną. On przygotowywa wszelkie czyny, bez niego nie byłoby przewrotów społecznych i politycznych, nie byłoby wielkich wojen narodowych.

Od lat pięćdziesięciu nawoływali literaci niemieccy do jedności, rozbudzając w rozdzielonych drobnemi swarami granicznemi plemionach germańskich poczucie łączności i wspólnych celów. Nazywano ich waryatami, narwańcami, prześladowano ich, zamykano im złote, natchnione usta, a oni robili jednak swoje. Dziś zbierają mężowie stanu plony pracy tych, których lekceważyli.

Bez literatury niemieckiej między r. 1830-m a 1860-ym byłaby wojna francuska może zupełnie inaczej wypadła.

Napoleon III-ci nie zajmował się widocznie badaniem usiłowań autorów „odwiecznego wroga“, bo mniemał, że zastanie po drugiej stronie Renu kłótnie i spory, że go tam Bawarczycy, Wirtemberczycy i Badeńczycy powitają okrzykanmi radości, jako wybawcę.

Tak donosili mu niesumienni sprawozdawcy polityczni: przyjdź tylko, a zobaczysz, że się wszyscy rzucą w twoje objęcia!

Tak przekonywało go stronnictwo szowini-

styczne z cesarzową Eugenią na czele: idź, a zniszczysz, zdruzgoczesz w krótkim czasie niemiłego, w pierze porastającego sąsiada!

A Berlin, à Berlin!

Czegoż się wahasz? Masz 362 bataliony piechoty i 248 szwadronów jazdy, gotowych w każdej chwili do wymarszu, masz szasepoty, niosące znacznie dalej i pewniej aniżeli odtylcówki pruskie. Działa twoje i mitraliezy posiekają na kapustę, poszarpią na bigos hałastrę króla Wilhelma. A Turkosy, Żuawy, kawalerya afrykańska! Niema na całej kuli ziemskiej takiego wojska, jak francuskie! Nie obawiaj się, tylko ruszaj, dopóki jeszcze czas, bo jutro lub pojutrze huknie na ulicach Paryża Marsylianka i tron twój wyleci w powietrze, niby pudełko z prochem. Ratuj się zwycięzką wyprawą, wróć szacunek geniuszowi Bonapartych i wiarę w niebledniącą świetność ich gwiazdy!

W ten sposób przemawiano do Napoleona rano i wieczorem, w południe i nocą, na posiedzeniach rady koronnej i na zebraniach prywatnych. Podżegano go dopóty, dopóki nie zgodził się na ową nieszczęsną wojnę, uwierzywszy we wszystko, co mu podsuwano.

Cesarz Francuzów nie miał dobrego przeczucia.

Bronił się do ostatniej chwili, uległszy dopiero wtedy, kiedy nie mógł się już opędzić natarczywym żądaniom stronnictwa wojennego.

— Dobrze, będę się bił, tylko dajcie mi już święty pokój...

Lecz o dziwo! Na wezwanie króla Wilhelma odpowiedział król Ludwik bawarski natychmiast telegramem, że „wojska jego będą walczyły z zapałem za honor i prawa niemieckie". Tak samo król wirtemberski i wielki książę badeński.

Rząd pruski zażądał od sejmu 120 milionów talarów na koszta wojenne, a naród złożył w krótkim czasie dwa razy tyle. Miasto Hamburg dało cały milon zamiast pół; tak samo Bremen i Lubeka.

Kazano stanąć wszystkim rezerwistom pierwszej klasy, a zgłosiło się mnóstwo młodszych i starszych, nieobowiązanych do służby polnej. Gromadnie śpieszyli popisowi, przebywający chwilowo w innych krajach, choć ich nikt nie wzywał. Nawet z Ameryki wracali wychowańcy literatury „młodo-niemieckiej", rzuciwszy wygodne zajęcia.

Samolubny, filisterski Germanin stał się bohaterem, patryotą. Zapomniał o piwie, a zaczął myśleć o potrzebach ogółu.

Niedosyć na tem. Nieprawdę mówili dygnitarze koronni, Leboeuf'y, Grammont'y i inni. Wszystkie te bataliony, szwadrony, szasepoty i mitraliczy istniały, ale tylko na papierze. Cesarz kazał, żeby były, naród dawał na nie pieniądze, lecz urzędnicy wyżsi i niżsi woleli obrócić franki na co innego. Minister okłamywał cesarza, ministra generał, generała pułkownik, i tak dalej aż do najmniejszego pisarka pułkowego.

Więc gdy wyszedł rozkaz do wymarszu, przekonano się, że armia pozostawiała wiele do życzenia. Żołnierz nie miał broni, koń rynsztunku, armata prochu i kul.

Powstał popłoch, zaczęto się krzątać, latać, zatykać dziury, nadrabiać miną, udawać nieustraszonych. Jedyny Napoleon nie łudził się podobno.

Nadomiar potracili dowódcy francuscy głowy. Zamiast ruszyć z całą, gotową już siłą zbrojną ku granicy niemieckiej, przekroczyć ją i wtargnąć na terytoryum wroga, namyślali się, co począć.

W chwili wypowiedzenia wojny miał Napoleon pod ręką około 200,000 dobrego żołnierza, ustawionego wzdłuż Renu po stronie francuskiej. Z armia ta mógł rzucić postrach na po-

łudniowe Niemcy i obezwładnić je, zanimby wojska północne nadeszły z pomocą. Aż do 25 lipca nie byłby mu się nikt oparł. Potem było już zapóźno.

Zamiast wyzyskać położenie, woleli generałowie Napoleona czekać z założonemi rękami, pozwalając złączyć się swym najbliższym sąsiadom z Prusakami.

Czekali bezczynnie na karę za pychę, która ich tym razem nie miała ominąć.

VI.

Jak wielka kula ognista, wisiało słońce dnia 3 sierpnia roku 1870 nad bogatemi łanami okolic nadreńskich. Już od kilku dni spływały z niebios takie żary, że zeschła ziemia zaczęła się rysować, kwiaty powiędły, liście drzew zczerniały, a zwierzęta pól i lasów pochowały się, gdzie się tylko dało.

Stopę pieszego wędrowca palił każdy kamień, pierś jego wdychała z trudem rozgrzane powietrze, a pot sączył się wszystkiemi porami ciała.

Lecz nie tobie, żołnierzu, skarżyć się na trudy uciążliwego pochodu wśród skwarów lata. Nad tobą nie lituje się nikt.

Oto ciągnie armia następcy tronu pruskiego już trzecią dobę ku granicy francuskiej wzdłuż nasypów drogi żelaznej, wiodącej do Weissen-

burga. Wymaszerowała ona z Landau dnia 1-go sierpnia, a jutro wkroczy do państwa cesarza Francuzów.

Przodem idzie wesoły ludek Bawarów, śpiewny, hałaśliwy, gadatliwy, idzie, jak na bal, z muzyką i radosnemi okrzykami. Grają kapele pułkowe, brzmią trąbki kawaleryi, kopyta końskie dzwonią w żwir ulicy, a koła dział dudnią na twardej, krzemienistej drodze.

A gdy dźwięki muzyki ustaną na chwilę, rozlegają się piosnki południowo-niemieckie, pełne melodyi i rzewności.

Za nieopatrznym narodem romantycznego króla Ludwika podąża miarowym krokiem milczące wojsko monarchy pruskiego, karne, posłuszne, zamknięte w sobie. Piszczą tu przeraźliwie świstawki, a bębny wydają z siebie głuchy, suchy łoskot.

Od czasu do czasu odzywa się komenda, krótka, nie znosząca oporu, lub przeleci adjutant, niby gołąb-listonosz, z rozkazami dowódcy.

Lśnią pikelhauby w promieniach słonecznych, błyszczą bagnety i rynsztunki, migają szpady oficerów. Zdaje się, że to morze błyskawic wali się z ponurym szumem ku siwym, wdali majaczącym Wogezom. Rysują się one ciemno-niebieskiemi cieniami na zachodnim wi-

dnokręgu, ciche, poważne. Jutro ożyją, zadrżą i jękną echami wystrzałów armatnich. Sępy i orły górskie zerwą się z mieszkań skalistych i spojrzą zdziwione na dół, w dolinę, gdzie się ludzie będą mordowali, do tygrysów podobni i panter.

Ciągnie armia następcy tronu pruskiego, jak olbrzymi, kilkomilowy wąż, a nad nią unoszą się tumany kurzu. Każdy wojak dźwiga na sobie sukienny mundur, aż po brzegi wyładowany tornister, torebkę do nabojów i ciężką strzelbę. Palą go rzemienie, żelaztwa, dusi go zapięty surdut, męczy go ustawiczny pot, ale jemu nie wolno nawet przystanąć, odetchnąć, napić się wody. Obok niego bowiem postępuje oficer z dobytą szablą i z groźnym rewolwerem: mruknij, a zginiesz!

Czasem powstaje gdzieś w środku między żołnierzami jakiś zamęt. Ktoś tam upadł, nie mogąc iść dalej.

To nic. Jakiegoś niedołęgę zabiła apopleksya, porazilo słońce, obezwładnilo pragnienie. Na wóz z nim i marsz!

— *Vorwärts! vorwärts!*

Ktoby się tam troszczył o marnego zdechlaka. Niech zginie, kiedy nie mógł zdążyć za resztą. Nie warto się nawet o niego pytać; opła-

czą go w domu aż zawicie: rodzice, bracia i siostry.

— *Vorwärts! vorwärts!*

Jutro legniemy może wszyscy na polu hańby lub sławy, a nikt się nie skarży...

I znów piszczą świstawki pruskie i łomoczą głucho bębny, a wojsko rusza coraz dalej, dalej przed siebie, połykając kurz i własny pot. Gdy nadejdzie południe, pozwolą mu spocząć dwie godziny, wieczorem zaś godzin więcej, aby było gotowe do okrutnej roboty.

Na samym przedzie armii pruskiej maszeruje piąty korpus, zostający pod dowództwem generała Kirchbacha, a czoło tego oddziału stanowi dywizya generała Sandrart'a, składająca się z czterech regimentów. Szlązacy to i Poznańczycy. Pójdą oni pierwsi w ogień.

Przy boku jednej z kompanij 58-go regimentu zdąża młody Frankenstein. Kurz pokrył go całego od stóp do głowy, przyprószył mu włosy i wąsy, powlókł mu twarz, zbielił buty, ale on rusza pewną stopą, sprężyście, oglądając się co chwila okiem znawcy na swój pluton. Ze szpadą w prawicy, z pikelhaubą na bakier, stąpa lekko, nie okazując najmniejszego zmęczenia.

O kilka kroków od niego w drugim rzędzie wlecze się Wojciech z karabinem na ramieniu. Dali mu hełm za wielki, mundur za obszerny i objuczyli go tornistrem, jak muła.

Chłop upada pod ciężarem, lecz udaje, że mu dobrze. Pan jego powiedział mu wczoraj: „Pokażmy Niemcom, że my nie żadne cherlaki", więc on wyrzuca zmęczone nogi, niby młody źrebiec, i prostuje się, jak nagięta sprężyna. Markotno mu tylko, że nie może pogadać z paniczem. Ale on żołnierz pruski, on wie, że w szeregu nie wolno gęby otwierać, bo gotowi ją zamknąć na zawsze.

Jednak myśleć trudno zakazać nawet w wojsku pruskiem. Przeto myśli sobie Wojciech o tem, co mu dziaduś powiadali, jakie to te „Chrancuzy siarczyste wojaki". Dziaduś włóczyli się z nimi po całym świecie i „uczyli moresu wszelakie narody".

— Oj, wypiorą nam skórę, wypiorą, jak się patrzy. Żebyśmy tylko z życiem uciekli. Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Boża Rodzicielko!

Nie sam tylko Wojciech myślał w ten sposób i modlił się gorąco.

W oddziale następcy tronu pruskiego szły tysiące, których idea „złączonych Niemiec" nie-

wiele obchodziła. Zapalili się do niej oficerowie i wykształceńszy żołnierze, lecz wielkie tłumy ciemnego chłopstwa nie rozumiały jej wcale.

Każdy z tych przymusowych rycerzów słyszał wiele o waleczności wojsk francuskich, o szczęściu orłów napoleońskich, o zwycięztwach Bonapartych. Pokonać Danię, Austryę— to nie sztuka! Inaczej zapewne będzie we Francyi, której granic broni wielka armia, prowadzona przez znakomitych, słynnych generałów.

Wszakżeż to marszałek Mac-Mahon, bohater z krwawych pól Magenty, wyszedł na spotkanie Prusaków. Stoi on zaledwie o kilka mil od brzegów Renu pod miastem Hagenau i czeka z wybornym, wypróbowanym żołnierzem na wroga. Przywiódł z sobą wszystkie pułki afrykańskie, i śmiałych Żuawów i okrutnych Turkosów z czarną twarzą i ze świecącemi białkami oczu. Jutro, najdalej pojutrze zewrą się oba wojska, jak dwie góry ogniste, a wtedy...

Nie sam tylko Wojciech przygotowywał się na klęskę. Drżało niejedno serce, bladło niejedno oblicze.

Dawna, ustalona sława oręża francuskiego unosiła się, jak widmo, nad postępującą armią pruską, strasząc nawet odważnych.

I wyżsi oficerowie nie byli pewni wyniku

wojny, bo nikt nie przypuszczał, aby lekkomyślność francuska mogła do takiego dojść stopnia, iż w obozie Mac-Mahon'a nie znano nawet siły zbliżających się zastępów.

Trzy korpusy pruskie i wszyscy Bawarowie posuwali się ku granicy, a Mac-Mahon wysłał na powstrzymanie tej straszliwej fali jedną tylko dywizyę generała Douay, zostawszy sam w Hagenau z resztą wojska.

O tem nie wiedzieli Prusacy i dlatego szli z ciężkiem sercem, nie kwapiąc się wcale do pierwszej potyczki.

Krwawo zachodziło słońce dnia 3 sierpnia, kiedy armia następcy tronu zabierała się niedaleko od Weissenburga do spoczynku.

Pod sam wieczór zrobiło się tak parno, że swobodny oddech stał się prawie niemożliwym.

Gasnące promienie gwiazdy dziennej padały ukośnie na ziemię, piekąc nieprzyjemnie. Na zachodzie ukazały się na nieboskłonie czarne chmury. Miliardy komarów brzęczały nad moczarami, a jaskółki szybowały tuż nad samą powierzchnią stawów przydrożnych, dotykając skrzydełkami nieruchomej wody.

Cicho, bez wrzawy rozłożył się obóz pruski. Żołnierz pochłonął wieczerzę, śpiesząc się do spoczynku. Zagrały trąbki nocne, pogasły ogniska,

i grobowe milczenie zapanowało wokoło. Każdy legł, gdzie stał, nie troszcząc się o wygodę. Zmęczenie znieczuliło ludzi. Byle spać, spać...

Czuwały tylko straże i patrole.

Bolesław Frankenstein spoczął na gołem polu, obok żołnierzy swego plutonu. Podłożył pod głowę tornister, przykrył się płaszczem i już miał zamknąć powieki, ciążące oczom, jak gdyby były z ołowiu, kiedy się ktoś do niego przyczołgał na brzuchu i szeptał mu do ucha:

— Paniczu!

— Czego chcesz?

— A żeby tak nogi zapas i drapnońć, paniczu.

— Na co?

— Bo nos te Murzyny, co to ich Mac-Mahona mo ze sobom, zjedzom.

— To nie daj się zjeść.

— A jak sie nie dać?

— Czy to nie masz garści i karabina!

— A mom. Ale jo tak sobie myśle, coby przeciek drapnońć, bo na co nom bić Chrancuza. Un mo polskom wiare, paniczu.

— Spojrz naokoło siebie i przekonaj się, że stanowimy zaledwie jedną falę w tem morzu ludzi.

— Dyć to prowda.

— A widzisz. Ruszaj spać, a kiedy zatrąbią do ataku, to wal co się zmieści, żeby ciebie nie bili.

— Dołbym jo im.

— Pamiętaj, że jesteś żołnierzem, że, zabijając innych, bronisz tylko własnej skóry Dobranoc!

— Dobrom noc, paniczu. Pod Twojom obrone, Święta Boża Rodzicielko, uciekamy się... — szeptał Wojciech, układając się do snu.

VII.

Z wielkim łoskotem przebudził się czwarty sierpień 1870 roku.

Jeszcze nie rozpoczęło słońce dziennej wędrówki, kiedy zachmurzone sklepienie niebieskie zapłonęło jaskrawemi ogniami błyskawic.

Po chwili rozległ się nad obozem pruskim huk piorunów, powtarzający się tysiąckroć w wąwozach Wogezów. Grzmot dudnił, jak groźba, a echo odpowiadało mu cichą skargą.

Lunął z góry rzęsisty deszcz na zmęczone wojsko, a razem z nim zagrały ranne pobudki.

— Do broni, do broni; na koń, na koń! Czas rozpocząć robotę!

Zerwali się żołnierze z twardych posłań, oczyścili się z błota, rozgrzali się naprędce zgotowanem śniadaniem i, wyprostowawszy niewy-

poczęte jeszcze członki, stanęli w szeregach, każdy pod swoim sztandarem.

— Marsz, marsz!

Potoki wody leją się z obłoków, mokra ziemia usuwa się z pod ciężkich butów piechoty, ale wojsko porusza się naprzód, bo mu tak kazano.

Idzie ono ku Weissenburgowi, rozłożonemu malowniczo nad brzegami rzeczki Lauter. Jedyna to brama, której próg trzeba przekroczyć, choćby go broniła cała armia Napoleona III, z prawej bowiem strony utrudniają Wogezy wstęp do Francyi, z lewej zaś lasy i moczary.

Przodem śpieszą Bawarowie pod dowództwem generała hr. Bothmer'a. Śpiewają oni i dziś, weselą się, bawią, nie troszcząc się o zawieruchę.

Za nimi postępuje w pewnem oddaleniu następca tronu pruskiego ze swemi korpusami.

Po dwóch godzinach istnego potopu zaczęło się niebo wypogadzać. Silny wiatr zadął od wschodu, wpadł między przędzę chmur i poszarpał ją na szmaty. Przez powstałe ztąd szczeliny wyjrzało słońce, rzucając na okolicę garść jasnych promieni.

Armia pruska dotykała już czołem przedniej straży granicy francuskiej.

Białemi ścianami świecący, czerwonemi dachami i wieżami strojny Weissenburg ukazał się na tle zielonych winnic, czysty i świeży po deszczu.

Za miastem, obwiedzionem murami i wałami, wychyliła się góra Gaisberg. Ludno tam i rojno, gwarno i barwnie. Główne siły francuskie zgromadziły się wokoło zamku, który wieńczy szczyt wzgórza.

Przed tym zamkiem stoi generał Douay, siwy wojak, z lunetą w ręku, i patrzy na dół, w dolinę, na olbrzymiego węża, co mieni się i błyszczy w blaskach gwiazdy dziennej i pełza ku niemu, aby go śmiertelnym objąć uściskiem.

Stary wódz przybył dopiero wczoraj z Hagenau, wysłany przez Mac-Mahon'a; chciał dziś ustawić baterye i usypać szańce, lecz już idzie nieprzyjaciel, już nie starczy czasu do wzmocnienia stanowiska.

Douay przypatruje się armii pruskiej — i marszczy brew. Wprawne oko doświadczonego oficera ogarnia całość, liczy bez omylenia się się dywizye i korpusy, waży siłę przeciw sile i nie zapala się błyskami radości.

Kilkakroć przewyższają Niemcy Francuzów, a ustały już czasy, kiedy jeden rycerz mógł podjąć walkę z dziesięcioma przeciwnikami. Dziś

niesie z sobą najpodlejszy tchórz śmierć w karabinie, najmarniejszy żołdak, ukryty w rowie, zabije bohatera, szukającego rozprawy w szczerem polu. Ilość kul, bagnetów, rąk i rozum dowódcy rozstrzygają bitwy nowożytne.

Wie o tem Douay i dlatego marszczy się i przygryza wąsa. Obejrzał się wokoło na towarzyszów broni, walecznych, dzielnych wojaków algeryjskich, z którymi przepędził tyle lat pod gorącem niebem Afryki. Żal mu ich. Cofnąć się? Nie, on się nie cofnie; on nie uczyni tego, choćby dla ocalenia honoru oręża francuskiego. Żołnierz powinien umieć zginąć z godnością, gdy nie może zwyciężyć...

Więc odwraca się do swego sztabu i woła:

— Podnieść mosty zwodzone, zamknąć bramy Weissenburga! Reszta — niech się rozsypie po wsiach i broni do nich przystępu, dopóki się da. Żywo!

Pędzą adjutanci, jak wichru posłańcy, i niosą rozkazy generała.

Wielki czas, bo właśnie rozlega się głośny okrzyk radości. To przekroczyli Bawarowie granicę Francyi, przeprawiwszy się w Maxau przez Ren. Kapele grają marsza wojennego, a oficerowie nawołują do porządku.

Już zetknęły się forpoczty, już padły pierw

sze strzały z karabinów. Potem ucichło wszystko na pół godziny. Zdaje się, że obiedwie strony wstrzymały oddech, przypatrując się sobie z podziwem.

Nagle zadrżała ziemia, zwirowało się powietrze, tu i owdzie buchnął w górę słup dymu, błysnął ogień, a potem rozległ się huk dział. To łomoczą armaty bawarskie do bram Weissenburga: otwórzcie nam, otwórzcie, albowiem spragnione jesteśmy krwi waszej!..,

I znów odpowiedziały echa, co wracały z winnic szeptem cichej skargi.

Była godzina w pół do dziewiątej z rana, kiedy działa króla Ludwika obwieściły następcy tronu pruskiego rozpoczęcie bitwy.

— Marsz, marsz, na pomoc towarzyszom broni!

W kwadrans potem zagrały i armaty pruskie, niosąc zniszczenie wiosce Allstadt, obsadzonej tylko słabo przez Francuzów.

Krótko trwał opór niewielkiej garstki żołnierzy Douay'ego. Bawarowie wyparli nieprzyjaciół bez trudu z Weissenburga, a Prusacy tak samo z Allstadt.

Francuzi cofali się szybko ku górze Gaisberg, gdzie stał sam generał z rdzeniem swej dywizyi, a za nimi podążyli Niemcy.

Teraz dopiero zahuczy prawdziwa bitwa. Co się dotąd działo, było tylko przegrywką.

Gwałtowniejsi Bawarowie, rozgrzani walką na ulicach Weissenburga, pędzą na oślep, lecą z boku ku Gaisbergowi.

Nie tak Prusacy. Oni nie przywykli do posunięcia się choćby o krok bez wyraźnego rozkazu.

Oczyściwszy Allstadt z nieprzyjaciela, rozwinęła się dziewiąta dywizya piechoty pruskiej, składająca się przeważnie z Poznańczyków i Szlązaków, długą linią, zwrócona piersią do góry, na której generał Douay do śmiertelnego gotował się boju.

Sam dowódca korpusu, generał Kirchbach, przybył przed front, aby się naradzić ze sztabem, co dalej czynić wypada.

Niema rady; trzeba wziąć górę z bagnetem w ręku, bo nie widzimy innego środka! O szarży kawaleryi mowy być nie może.

Kiedy wyżsi oficerowie rozpatrywali położenie, stało wojsko w ponurem milczeniu, z bronią przy nodze, z trwogą w sercu.

Była to prawie sama młoda linia, świeży, zaledwie poduczony żołnierz, znajdujący się po raz pierwszy w ogniu. Tylko podoficerowie i starsi oficerowie pamiętali wyprawę duńską i austryacką.

Na czele swego plutonu znajdował się Bolesław Frankenstein ze szpadą, opuszczoną ku ziemi. Zabłocony, zakurzony, patrzył z pod zsuniętych brwi na Gaisberg, który ział ciągłym ogniem w dolinę.

Ilekroć rozległ się huk armat, drgnął; — ilekroć syknął granat, schylił się mimowolnie; każdy świst kuli karabinowej, przebiegającej mu koło ucha, ukłuł go w serce.

Był synem żołnierskim, potomkiem krwi rycerskiej, a jednak zbladł i drżał, jak trwożna dziecina.

Śmierć przechadzała się już po polu bitwy, a wiedźma ta nie wywołuje na żadnem obliczu rumieńca radości.

Frankenstein cofnął się w tył z przestrachem, bo właśnie spadł kilka kroków przed nim zdradziecki granat francuski, zarył się w ziemię, pękł, huknął i rozprysnął się na wszystkie strony.

— O, Jezu, Jezu! — zajęczało dokoła.

Czterech ludzi legło w pierwszym szeregu.

Bryznęła krew tuż pod nogi oficera. Kilka czerwonych, ciepłych kropli zrosiło jego buty.

Coś klupnęło za nim, jak gdyby ktoś kamyczek rzucił do wody.

— O, Matko Najświętsza! — zawołał żołnierz, raniony kulą z karabina.

Za nim zwalił się z nóg drugi, trzeci, czwarty, bo szasepoty francuskie chybiały rzadko z daleka. Słaniały się szeregi, jak łan, dotknięty kosą żeńca, a w miarę jak zaczynały się przerzedzać, odbywała się w sercach młodych wojowników dziwna przemiana.

Twarze Maćków, Wojtków i Bartków z pod Kościana i Pleszewa, z pod Śremu i Wągrówca, zrazu śmiertelną zbielone trwogą, stawały się dzikie, coraz dziksze. Przerażone ich w pierwszej chwili oczy spoglądały ponuro z pod czoła, jak ślepie drażnionego zwierzęcia. Ten i ów ścisnął karabin w garści i zaklął. Miejsce strachu zajęła głucha wściekłość.

— Paniczu, na co my tu stoimy? — szepnął Wojciech.

— Co uni tam radzom po próżnicy; kiej bić, to bić i tyla. Kuba legł, Jaśko zadarł kopyta, Wojtek jęczy, kiejby mioł wielgom chorobe. Oj, dali mu nie chleba. A jak psiepary strzylajom, niech ich jaśniste.

I znów syknął granat, niby podła, podstępna gadzina, a gdzie padł, tam rozdzierały się ciała ludzkie, do drzazg podobne.

— O, Jezu, Jezu! — ryknął Wojciech. — Jędrocha już niema. Jak go to roztargało! Paniczu, nie wytrzymom, pójde; co uni majom do

nos strzylać, kiejby, nie przymierzajone, do kaczek. Paniczu jo pójde.

Ale Frankenstein podniósł rewolwer, mierząc Wojciecha zimnym wzrokiem.

Rwał się i on do przodu, do boju. Jęki rannych i konających, huk dział i świst kul karabinowych stłumiły w nim łagodniejsze uczucia. Ocknął się w nim człowiek, czujący potrzebę obrony, gdy życiu jego zagraża niebezpieczeństwo.

W tem zagrały trąbki i zawarczały bębny.

— Szlusuj! do ataku marsz! — rozległa się komenda.

Bolesław Frankenstein, który stał dotąd, jak skazaniec, wyprostował się nagle, odrzucił głowę w tył, podniósł szpadę i krzyknął po polsku:

— Za mną wiara!

— Hurra, hurra! — zabrzmiało wokoło — hurra, hurra! — powtarzały pagórki i doliny, lasy i wąwozy.

I szły pod osłoną armat pruskich pułki szląskie i poznańskie, jak wezbrany potok, gdy pry sną powstrzymujące go tamy.

Szły naprzód wśród gradu kul, wśród huku dział i dźwięków muzyki.

— Szlusuj! Naprzód marsz! — powtarzali, co chwila oficerowie, bo dalekonośna broń francu-

ska sprawiała w szeregach szturmujących straszne spustoszenie.

Lecz zdrowy omijał trupa poległego i zdążał naprzód. Krew rodzi krew. Pierzchnęła już trwoga.

— Zemsta, zemsta za tych, z którymi jeszcze wczoraj przy jednem siedzieliśmy ognisku, a których oczy zgasły dziś na wieki.

Temu zginął brat, owemu towarzysz, innemu przyjaciel.

O jak te trąbki grają; jak ta muzyka, ten huk i łomot, ta cała wrzawa bitwy odurza, upaja, podbudza...

— Szlusuj! Naprzód marsz! Wziąć tę przeklętą górę, która śle w dolinę bladą śmierć, jak smok z paszczą ognistą.

Tu niema panów i sług; wojna zrównała wszystkich. Padają oficerowie i żołnierze, odważni i bojaźliwi. Tam znoszą Kirchbacha z konia. Generał korpusu ranny!

— Zemsta, zemsta!

I szumi pod Gaisberg żywa fala, pieniąc się i kipiąc. Już dopadła stóp góry, już pnie się ku wyżynie. Żołnierz przestał się bać; nie widzi on nic okrom celu straszliwej drogi. Pragnie spojrzeć w oczy wrogowi, który go z ukrycia tak trapi. Prędzej, prędzej!

Jak dzikie kozy czepiają się Maćki i Wojtki, Hanse i Karle lada krzewiny i zbliżają się do mety. Jeden po drugim zwala się ze stoków Gaisberga, lecz miejsce jego zajmuje trzeci, czwarty, piąty. Nie ma ratunku! Ta fala zaleje tych, co na górze pracują, jak maszyny do zabijania ludzi.

Tam stoi na szczycie generał Douay. W ręku nie trzyma już lunety, lecz obnażoną szpadę. On wie, że się strategia i taktyka w takich razach na nic nie przydadzą.

Z przodu napada na niego przetrzebiona dywizya Sandrart'a, wściekła roznamiętniona; z lewej strony śpieszą Bawarowie, z prawej grozi mu reszta armii pruskiej. Ktoby podołał tak wielkiej sile? Ale żołnierz algeryjski nie cofnie się.

Już wdarły się pruskie pułki na wierzchołek. Na nic teraz przewaga szasepotów.

Większa ilość bagnetów zapanuje na placu boju.

— Skróć broń! Do ataku marsz!

Hej, jak te trąbki grają! Umarłego ożywiłyby, konającego natchnęły chęcią do boju...

I zwarły się dwa wojska, jak dwa stada dzikich, rozbestwionych zwierząt. Walczą z sobą bagnetami, kolbami, szpadami, a komu roz-

trzaskano strzelbę, komu wytrącono z ręki broń białą, ten toruje sobie krwawą ścieżkę pięścią, rękami, nienawiścią swoją.

Rozprzęgły się szeregi; zamilkły rozkazy, bo każdy szuka sobie sam przeciwnika. Zmieszały się barwy, narodowości. Jaskrawy Żuaw bierze się za bary z ciemno-granatowym Prusakiem; jasno-niebieski Bawar tarza się na ziemi z czarnym Turkosem, w papuzie strojnym kolory. A na ustach wszystkich kipi piana, a oczy wszystkich chciałyby się zamienić na sztylety, by mogły mordować, byle więcej. więcej.

Tygrys zdziwiłby się takiej zawziętości.

Ludzież to, zdrowi na umyśle? To szaleńcy, którym wszechwładna potęga instynktu zachowawczego odebrała rozum.

Oni bronią wszyscy własnego życia, więc zabijają z rozkoszą, z namiętnością, aby sami ocaleli. Bartki, Wojtki, Hanse i Karle nie znają się wcale na polityce, na ideałach młodo-niemieckich. Wiedzą oni jedynie, iż, gdy nie palną bagnetem tego ot tam zębami zgrzytającego Turkosa, to on się nad nimi z pewnością nie ulituje. Resztę robi szał bitwy.

Bolesław Frankenstein szedł ciągle przodem. Kilka razy musiał się zatrzymywać wśród stra-

szliwego pochodu, bo mu szasepoty francuskie łamały pluton. Padł pułkownik, zginął major, wyzionęli ducha kapitanowie.

Gdy dotarto do szczytu góry, została z całego pułku zaledwie garść niedobitków i jeden tylko oficer, młody Frankenstein.

Kule zerwały mu z głowy hełm i przeszyły poły surduta, ale ani jedna nie trafiła go dobrze.

Nie zważał on zupełnie na strzały Widział, że towarzysze jego giną, więc śpieszył się, ile sił starczyło, aby się wydostać z ognia karabinowego. A gdy stanął u celu, nie było czasu do namyślania się, nie z rękoma bowiem założonemi czekali Francuzi na szturmujących.

Żołnierze Douay'ego walczyli z odwagą ludzi, którzy tracą wszystko, jeśli nie zwyciężą, bo nietylko życie, lecz także honor. Gdyby ich było choćby jeszcze raz tyle! Ale jedna dywizya przeciw czterem korpusom — to chyba żarty...

Zrozumiał to Douay. Więc podniósł szpadę do góry i, stanąwszy na czele resztek swego wojska, nasunął kepi na oczy i krzyknął:

— *En avant!*

Tylu zginęło, a on miałby żyć?

Zaledwie postąpił kilka kroków, schwycił się za pierś, potoczył się i padł w objęcia żołnie-

rzy. Jakiś owczarek szląski, przebrany w mundur, strzelił bez mierzenia i ranił śmiertelnie dowódcę-bohatera...

W tej samej prawie chwili nadbiegł adjutant na spienionym koniu i doniósł, że XI-ty korpus jenerała Bose'go okracza Gaisberg.

— Wyrżną nas w pień!

Douay dał ręką znak do odwrotu. Szybko, w porządku cofnęła się znękana armia francuska drogą ku Wörth, zostawiając Prusakom krwią ociekłe pobojowisko i cały obóz.

Była godzina dwunasta w południe, kiedy zwyciężeni schodzili z góry, unosząc z sobą rannego wodza.

VIII.

Pośpiech, z jakim dywizya Douay'ego schodziła z góry Gaisberg, okazał się niepotrzebnym, bo Prusacy nie mieli już sił do wyzyskania zwycięztwa.

Armia następcy tronu, pozostająca od pięciu dni w ciągłym marszu, wycieńczona trudami przykrej drogi, strawiona gorączką pierwszej potyczki, była tak zmęczona, że dowódcy musieli sobie odmówić przyjemności ścigania pokonanego nieprzyjaciela i rozbicia do reszty zdziesiątkowanej już i tak przedniej straży Mac-Mahona.

Rozłożono więc obóz na pobojowisku i zabrano się do zgotowania obiadu, na który żołnierze dziś rzetelnie zasłużyli.

Ochoczo, wesoło, jak gdyby się nic nie było stało, otoczyły przetrzebione kapralstwa płoną-

ce ogniska, spożywając z żarłocznością zgłodniałych wilków przyrządzone naprędce pokarmy.

Kiedy wojownicy po krwawej odpoczywali robocie, rozpoczęła służba czerwonego krzyża swą smutną czynność.

Gdzie przed chwilą biegł roznamiętniony żołnierz z mściwą śmiercią na końcu bagneta, tam przesuwała się teraz cichą stopą siostra miłosierdzia i niosła ofiarom wojny pomoc i słowa pociechy.

Lekarze oglądali troskliwie każdego poległego, badając, czy nie da się rozdmuchać tlejącej może jeszcze w jego łonie iskry życia.

Rannych brano ostrożnie na nosze, a umarłych rzucano do wielkich mogił.

— Wody, wody! — wołano wszędzie.

— Boże, Boże! — jęczał każdy w swoim języku.

Wił się Turkos obok pruskiego piechura, Żuaw tuż przy Bawarczyku. Nie żywili już do siebie nienawiści. Pogodziły ich wspólne cierpienia.

Razem ze służbą zdrowia błądził na pobojowisku Bolesław Frankenstein.

Schylał się i słuchał, i szedł dalej, kierując kroki zwykle tam, gdzie spostrzegł jaskrawe mundury francuskie.

On nie zasiadł z towarzyszami do biesiady, on nie wziął do ust ani kropli wina, ani kęsa chleba, lecz przyłączył się natychmiast po ukończeniu bitwy do oddziału sanitarnego, tłomacząc się tem, że, jako student medycyny, mógł być i po bitwie przydatnym.

Mimo to nie badał ran, lecz przysłuchiwał się jedynie dźwiękom skarg poległych.

Straszny grozą swą obraz rozwijał się stopniowo przed jego oczami.

Długim szeregiem zasłały trupy pruskie i francuskie całą dolinę. Jak wojownicy szli, tak padali zrazu w rzędach, w porządku, zmieszawszy się dopiero na samym szczycie góry.

Walka srożyła się tu, jak gwałtowny wicher północy. Granaty porozszarpywały ciała ludzkie na strzępy. W jednem miejscu leżała głowa, w drugiem tułów, w trzeciem noga lub ręka. Kule połamały drzewa i drążki, podtrzymujące winne latorośle, podziurawiły ściany domów i płoty. Buty, pasujących się z sobą żołnierzy, zryły murawę, zlaną obficie krwią poległych.

Hełmy, kepi, potrzaskane karabiny, odłamy bagnetów i szpad, przewrócone mitraliezy i porwane części mundurów walały się między

trupami. Gdzieniegdzie rzucał się ranny koń, któremu kula armatnia urwała przednie nogi. Posoka buchała z niego, a on podnosił z trudem głowę i zwracał błagalny wzrok do przechodzących ludzi.

W jednej z willi, otoczonej zielenią, znalazł Bolesław Frankenstein sześciu Żuawów z rozbitemi czaszkami, a obok nich tyluż Bawarczyków bez życia. Granat wpadł między nich w chwili, gdy nacierali na siebie i położył kres ich obustronnej wściekłości.

Ze wstrętem odwracał się młody oficer od tych obrazów zaciętości ludzkiej.

Wszakżeż był i on jeszcze przed kilku godzinami do dzikiego podobny zwierzęcia; ale teraz, kiedy ochłonął, kiedy ustała odurzająca wrzawa bitwy, kiedy zamilkły działa, trąbki i bębny, ściskał jego serce żal, a zbladłe usta szeptały:

— Tyle szczęścia ludzkiego zniszczało w tak krótkim czasie, tyle wdów i sierot przybyło wpośród dwóch narodów, tyle łez popłynie jutro, pojutrze. I na cóż to, na cóż?

Znękany widokiem wielkiego spustoszenia, wracał wolnym krokiem do obozu.

— Ratunku, ratunku, dobijcie mnie! — zawołał ktoś z rowu po polsku.

Frankenstein drgnął i obejrzał się z trwogą. Odetchnął jednak po chwili, bo głos wydobywał się z pod munduru pruskiego.

— *O, mon Dieu, mon Dieu!* — jęczał drugi biedak w pobliżu.

Oficer nachylił się szybko do skarżącego się i zapytał po francusku.

— Czy nie było między wami Polaków?

— Nie — odpowiedział Żuaw.

A czy niema ich w armii Mac-Mahon'a?

— Jest ich kilkunastu w oddziałach afrykańskich.

— Są — wyrzekł Frankenstein zcicha.

Coś złowrogiego błysnęło w jego oczach.

— Niedoczekanie wasze — wycedził przez zęby i poszedł dalej, poleciwszy rannych zbliżającej się właśnie służbie zdrowia.

Przechodząc obok kawaleryi, spotkał się z wielkiem mnóstwem jeńców francuskich. Liczono ich i rozdzielano na gromadki.

Stali wszyscy w ponurem pogrążeni milczeniu. Widać było z ich twarzy, jak srodze bolała ich doznana przegrana.

Byli przecież między ujętymi starzy wojacy, którzy nie od dziś nadstawiali piersi, ozdobionych licznemi orderami, zarobionemi uczciwie, rzetelnie, pod Sewastopolem, we Włoszech, w Afry-

ce i w Meksyku. Niejeden z tych posiwiałych w boju kapralów szczycił się trzema, czterema nawet złotemi sznurkami, na prawym rękawie.

Oni nie przywykli ustępować nikomu, a dziś musieli złożyć broń przed nienawistnym „*Prussien*," którego tak lekceważyli.

O, dlaczegóż nie było ich więcej!

Niech hańba ich spadnie na sumienie lekkomyślnych dowódców, którzy wysłali dywizyę Douay'ego na prostą rzeź.

Oni zrobili swoje. Więcej nie mogli. Przeto, choć oddali karabiny, spoglądają dumnie dokoła z pod ściągniętych groźnie brwi.

— Ulegliśmy przemocy, nie zaś waleczności waszej — mówiły ich oczy.

Kiedy Frankenstein zbliżał się do miejsca, w którem stał jego pułk, rozległy się sygnały, nawołujące do apelu.

Stanęło wojsko pod bronią i teraz dopiero przekonano się o znacznych stratach. Regimenty poznańskie i szląskie ucierpiały najwięcej. Prawie połowa z nich pozostała na placu boju.

Wolno posuwał się sztab przed frontem, przystając przed każdym pułkiem. Gdy zrównał się z regimentem 38-ym, zawołał generał Sandrart głośno:

— *Lieutenant von Frankenstein!*

Bolesław wystąpił z szeregu i podniósł prawą rękę do hełmu.

Generał mówił o zdobyciu jakiejś chorągwi francuskiej, o niezwykłej waleczności podporucznika Frankensteina, potem przystąpił do milczącego oficera i, przypiąwszy do jego piersi żelazny krzyż I-ej klasy, oświadczył mu, że: postępuje z dniem dzisiejszym z łaski następcy tronu na pełnego porucznika.

Szmer zadowolenia rozszedł się po szeregach, ale odznaczony tak zaszczytnie oficer nie objawił najmniejszej radości. Blady, z zaciśniętemi ustami wysłuchał w postawie wojskowej całej przemowy, a gdy generał skończył i posunął się dalej, zwrócił się na obcasie i zajął bez słowa swoje miejsce.

Kiedy starszyzna rozdała nagrody i policzyła straty, poniesione w dniu 4-ym sierpnia, zakomenderowano: rozejść się!

Żołnierze ustawili broń w kozły i udali się do wygasłych ognisk, słońce bowiem skryło się już za górą Gaisberg.

Po godzinie zaległa cisza odpoczynku nad obozem pruskim.

Bolesław Frankenstein postarał się tego dnia

o wygodniejszy nocleg w jednej z willi, rozrzuconych gęsto między winnicami.

Drzwi domu stały otworem, w oknach nie było ani jednej całej szyby, a wewnątrz podrzgotały granaty meble i zwierciadła.

Reszty zniszczenia dokonało barbarzyństwo wojny.

Żołnierze porozcinali pałaszami obicie na ścianach, na fotelach i kanapach, potłukli konsole, wazony, porcelanę, nie darowali nawet posadzce.

Pałacyk wyglądał, jakby przez niego była przeszła horda Wandalów.

Podczas kiedy Wojciech udał się na zwiady do piwnic i na poddasza, urządzał sobie Bolesław posłanie z walających się po ziemi poduszek i materaców.

Od tygodnia sypiał w ubraniu pod gołem niebem. Swędził go brud, paliły buty. Chciał się dziś oczyścić i pozwolić członkom dobrze wypocząć.

Już zabierał się do zdjęcia sukien, kiedy Wojciech wrócił z wyprawy, niosąc coś pod płaszczem.

— Niechno panicz patrzy, com nalozł! — zawołał.

— Cóż to takiego? — zapytał pan.

— Winno, paniczu, winno, ale takie jakieś gorzkie, co sie gymba krzywi.

I wydobył z za pazuchy kilka butelek.

Bolesław odkorkował, napił się z flaszki i uśmiechnął się z zadowoleniem. Był to wyborny, stary burgund.

— Doskonałe wino — rzekł, czując, jak go szlachetny trunek stopniowo rozgrzewał.

— Jo to wololbym gorzole — mówił Wojciech!

— To napij się wódki, masz — wyrzekł Bolesław, podając słudze własną manierkę.

Lecz żołnierz nie sięgnął po nią.

— Kiej nie śmim — odparł tylko.

— Bierz, kiedy ci daję.

Wojciech drapał się w głowę.

— Kiej nie śmim — powtórzył.

— A dlaczego nie śmiesz?

— Eh, bo panicz tero taki wielgi wojok, kiejby jaki jedneroł.

„Wielki wojok“ zachmurzył się i przyłożył powtórnie butelkę do ust.

— A bo to nie! — prawił Wojciech; — dali ta paniczowi takigu ptoka, co to bestyjo czorny i bioły, kiejby sroka. A na co tyż paniczowi takie byle co? Jobym to ta takom blaszke ćpnuł i wypluł ze trzy razy, coby mnie psiakość nie

oczarowała. Jeszczykby uczciwy katolik mógł ostać Miemcem. Tfu! Żeby ich wciorności. Ale co tyż panicz waliuł, to waliuł bez łeb, bez kudły, bez łapy i giry, jak nie przymierzajonc, chłop w karczmie. Tero to sie już ta nic nie boje tych czornych dyobłów. Chrancuzy siarczyste wojoki, ale my jakoby tyż nie od parady. Panicz ani sie zachłysnuł, ino grzmociuł a grzmociuł, a jo marsz za moim panem i robiułem jakoby tak samo. Dopiryby sie to jaśnie pon doma ucieszuł, kiejby wiedzioł, jaki to z panicza zabijok, bo nasz jaśnie pon — to ponoć buł Miem...

— Wojciechu! — zawołał w tej chwili Bolesław, przecinając ostatnie słowo sługi w połowie.

„Bursz“ wyprostował się natychmiast wojskowo i mruknął:

— *Zu Befehl, Herr Lieutenant!*

— Zdejm mi buty! Przylepiły mi się do nóg!

Wojciech rozbierał pana, który milczał, przeżuwając jakąś gorzką myśl.

Kiedy legł na posłaniu, skinął na sługę:

— Zbliż się do mnie!

— Niech się panicz na mnie nie sierdzi. To ta przeklenta gymba godo takie byle co — mówił Wojciech.

Ale Bolesław myślał już o czem innem.

— Czy ty wiesz, że u Mac-Mahon'a są nasi?— wyrzekł z cicha.

— Rany Chrystusa! — krzyknął Wojciech.— I co byndzie, paniczu? Przeciek my swoich nie byndziemy bili!

— Zobaczymy. Tymczasem idź spać, a kiedy pójdziemy po raz wtóry w ogień, nastawiaj dobrze uszu. Dobranoc!

IX.

Jak codziennie, zebrała się arystokracya małego miasteczka, w którem mieszkał radca sprawiedliwości, Hans von Frankenstein (bo tak się teraz stale podpisywał na wszystkich aktach), i wieczorem dnia 4 sierpnia w hotelu Müller'a.

Gorliwiej i jeszcze chętniej, aniżeli dawniej, śpieszyli niemieccy ojcowie stolicy powiatowej na piwo, aby pogawędzić o bieżących wypadkach. Każda prawie godzina przynosiła nowe wiadomości, nowe telegramy. Gazetka miejscowa wypuszczała kilka razy na dzień „ekstrablatty“ ku wielkiemu zadowoleniu publiczności, a ku pożytkowi własnej kieszeni.

Wojsko postępowało ku granicy francuskiej, śladami zaś jego szły miliony myśli, tęsknot, pragnień. Dziś stanęli tu, jutro będą tam, pojurze dotrą do Weissenburga.

Czasopisma berlińskie i poznańskie przepełnione były datami, odnoszącemi się do sił niemieckich i francuskich. Podawano biografie głównych generałów, opisywano ich czyny wojenne, wyciągano wnioski, liczono, spodziewano się, czekano z bijącem sercem na wieści o pierwszem, większem starciu.

Bo i kraj, gdy minął pierwszy zapał, nie był pewnym wygranej. I tych, co pozostali w domu, niepokoiła sława oręża francuskiego i szczęście orłów napoleońskich.

Gwarno było dziś w hotelu Müller'a. Rej wodził między dygnitarzami miasta radca sprawiedliwości.

Krzątał się on chorobliwie od dni kilku, jakby chciał dogonić to, o czem zapomniał od lat wielu.

Zawiązał stowarzyszenie w celu zaopatrywania wojska bielizną, obuwiem, szarpiami i bandażami dla rannych; zbierał sam różne dary, t. zw. *Liebesgaben*; biegał, ruszał się, pracował, namawiał, prosił; był głową i duszą wszystkich czynności patryotycznych.

W chwili, kiedy arystokracya miasteczka radziła nad tem, jakby przymusić mieszkańców innej narodowości do oddania grosza wdowiego

dla sprawy niemieckiej, pracowały już druty telegraficzne, niosąc z drugiej strony Renu pierwszą radosną nowinę.

Zaledwie mieli panowie radcy, profesorowie i sędziowie czas do wysączenia trzeciego kufla, kiedy się za oknami restauracyi rozległo znane nawoływanie:

— *Extrablatt, Extrablatt!*

Wybiegł kelner na ulicę i przyniósł kilka kartek, które podarto w mgnieniu oka na strzępy

— *Sieg, grosser Sieg!*

Zadrżały szyby od głośnego okrzyku, potem ucichło w hotelu. Biesiadnicy pochwycili kapelusze i czapki i wyruszyli gromadnie na miasto. Każdy śpieszył do siebie, aby podzielić się z rodziną szczęśliwą wiadomością.

Jak w dniu wypowiedzenia wojny, siedziała radczyni i tego wieczoru w salonie przed czarnym, hebanowym stołem.

Słabe światło lampy padało na jej bladą, zmęczoną twarz, na której widoczne były ślady łez i nieprzespanych nocy.

I jakże miała spoczywać? Jedynak jej był na wojnie, a mąż stał się w domu gościem. Przybywał tylko na krótko, spożywał szybko, co mu podawano, i uciekał do swoich zajęć publicznych.

W pierwszych dniach chciał ją przymusić do przewodniczenia stowarzyszeniu kobiet niemieckich, zatrudniających się przyrządzaniem bielizny dla wojska, a gdy się oparła, ofuknął ją i groził jej po raz pierwszy w życiu zerwaniem węzłów dozgonnych.

Scena ta oddaliła ich jeszcze więcej. Małżonkowie czuli, że drogi ich rozchodzą się na zawsze.

Odtąd spędzała radczyni samotne dnie i noce na czytaniu i modlitwie.

Czytała bardzo pilnie gazety, śledząc uważnie wszystkie ruchy armii następcy tronu z mapą w ręku. Wiedziała bardzo dobrze, gdzie się wojsko znajduje każdego dnia, gdzie rozbija obóz i kiedy idzie dalej.

Pod sztandarami księcia Fryderyka Wilhelma szedł przecież jej syn, jedyna istota, którą obecnie na ziemi gorąco miłowała.

On przysyłał jej codziennie czy list, czy kartkę korespondencyjną. Ona pochłaniała te świstki sto razy, oblewała je łzami kochającej matki, okrywała pocałunkami i chowała do szkatułki, jak świętości.

Coś mówiło jej, że to może ostatnie pamiątki po jej jedynem dziecku. Przeto uczepiła się ich kurczowo, z bolesną pieczołowitością, jak się

chwyta uchodzące wspomnienia szczęśliwszych czasów.

Dziś nie miała żadnej wiadomości od Bolesława. Czekała na nią od samego rana, trawiona gorączką niepokoju przez godzin kilkanaście. Pod wieczór poszła sama na pocztę.

— Może listonosz zgubił list, może zapomniał go oddać.

Nie, poczta pruska nie zatraca nic.

Znak życia od syna nie przyszedł.

— Może się już wojska spotkały, może...

Nie chciała myśleć dalej, więc zasiadła przed mapą Niemiec i Francyi i wodziła ołówkiem po drodze, którą postępowała armia następcy tronu.

Odpoczywała często w tej pracy, opierając utrudzoną głowę na wychudłej dłoni. W takich chwilach uwydatniała się najwięcej nagła zmiana, jaka zaszła w przeciągu dni niewielu na jej obliczu. Włosy jej posiwiały na skroni, oczy, podkrążone ciemno-niebieskiemi obwódkami, zapadły, cera pożółkła, a na czole i wokoło ust przybyło mnóstwo zmarszczek.

Wtem doszło i na pierwsze piętro wielkiej kamienicy wołanie chłopców redakcyjnych.

Tyle razy słyszała radczyni te nieprzyjemne głosy, a jednak nie przywykła jeszcze do nich.

Zerwała się z fotelu i wybiegła na balkon.

Na rynku roiło się od ludzi. Wszyscy zdążali gdzieś szybko, tonąc w ciemnościach ulic i uliczek.

Potem zapanowało przez kilkanaście minut głuche milczenie. Nagle błysnęło coś w jednem z okien ratusza, i po pierwszem światełku ukazało się drugie, dziesiąte, dwudzieste, setne. Rozpromienił się ratusz, sąd, rozżarzyły się wszystkie domy, zamieszkane przez urzędników.

Z otworów dachów wychyliły się chorągwie, białe z czarnem, czerwone z barwą złotą i ciemną. Zafurkotały w powietrzu liczne płótna, wązkie, długie.

— Iluminacya — szepnęła radczyni. — Niemcy zwyciężyli...

I przyłożyła obiedwie dłonie do piersi w stronie, gdzie serce jej poruszało się słabo, nie bijąc prawie wcale.

— Zwyciężyli! — mówiły blade usta matki Bolesława.

Do salonu wszedł lokaj z oznajmieniem, że pan radca przysłał woźnego z rozkazem oświetlenia całego domu od góry do dołu.

Radczyni schyliła tylko lekko głowę. Nie broniła słudze.

— Zrób, czego sobie pan życzy.

Lokaj ustawiał w oknach lampy i kandela-

bry, a pani stała na balkonie, przypatrując się bezmyślnie ruchowi, jaki ożywił rynek. Czuła się w tej chwili dziwnie samotną i obcą w mieszkaniu męża. Ona tu? Jak się to stać mogło? O! Boże, Boże!...

Załamała ręce, opuściwszy je na łono.

A z głównej ulicy wysnuwał się długą, różnobarwną świetlaną wstęgą korowód z pochodniami, który okrążał ratusz przy dźwiękach muzyki.

Orkiestra miejska grała: „Straż nad Renem“ a młódź niemiecka i urzędnicza wrzeszczała całem gardłem: hurra, hurra! zwycięztwo, zwycięztwo!

Gdy czoło rozhukanej zgrai stanęło przed drzwiami ratusza, skinął ktoś ręką.

Zatrzymano się natychmiast.

Ten ktoś skoczył na kamienne stopnie wschodów i zaczął mówić.

Był to mąż radczyni.

Wysoki, panował nad całą rzeszą, a silny jego głos rozlegał się donośnie wokoło.

Radca prawił o znaczeniu wygranej pod Weissenburgiem, o dzielności armii niemieckiej, o geniuszu Moltke'go, a zgromadzeni wtórowali mu ciągłem: hurra, hurra!

Kiedy skończył, zagrała kapela: *Heil dir im*

Siegerkranz! i korowód ruszył dalej, aby napełnić wrzawą resztę miasta.

Małe tylko gromadki chłopców, trzymających się zdala od ludzi z pochodniami, zostały na miejscu.

Gdy się na rynku uciszyło, rozbiegli się na wszystkie strony.

Po jakimś czasie zadźwięczał brzęk rozbitego szkła.

Wpadł kamień i do salonu radczyni i pozbawił ją najlepszej lampy.

Matka Bolesława nie zadzwoniła na służbę.

— Niech tłuką — szepnęła, uśmiechnąwszy się przez łzy do siebie.

Radczyni przepędziła i tę noc na kolanach w pokoju sypialnym, a radca w hotelu Müller'a przy piwie. Zwycięztwo następcy tronu trzeba było uczcić mnóstwem kufli i śpiewami...

Kiedy pan Hans von Frankenstein wrócił nad ranem do domu, podał mu lokaj telegram. Była to wiadomość z pola bitwy.

Jakiś pułkownik, przyjaciel radcy, donosił mu o awansie i dekoracyi Bolesława.

— Odezwała się w nim krew Frankenstein'ów, gdy działa zagrały. Wiedziałem, że mój syn nie zrobi mi wstydu — mówił radca, odczytawszy dobrą nowinę.

— Zanieś depeszę pani! — rozkazał słudze — a wieczorem możesz sobie wypić kufelek piwa na mój rachunek.

— Mój syn żyje! — zawołała radczyni, całując niebieski papier.

— I bił się, jak przystało na potomka rycerzów polskich — dodała z dumą matka.

A odwróciwszy się do lokaja, wyrzekła:

— Wiem, że masz narzeczoną. Weź dla niej na pamiątkę wybawienia mojego syna z niebezpieczeństwa, w jakiem się niewątpliwie wczoraj znajdował, ten oto pierścień.

Sługa chciał dziękować, lecz radczyni dała mu ręką znak, aby odszedł.

Potem rzuciła się na posłanie i spała po raz pierwszy od tygodnia bez przerwy przez ośm godzin.

Kiedy się przebudziła, świeża, zdrowsza, minęło południe już dawno.

Radcy nie było w domu. Biegał po mieście, chwaląc się powodzeniem syna, w którym „odezwała się krew Frankenstein'ów."

X.

W chwili, w której się rodzice Bolesława dowiedzieli o jego ocaleniu, zdążał on sam na czele swej kompanii drogą z Weissenburga przez Sulz ku miasteczku Wörth.

Czteromilowa zaledwie przestrzeń dzieliła jedno pole bitwy od drugiego, a jednak potrzebowała armia następcy tronu całego dnia do przebycia tej małej stacyi.

Bo drobny, niemiły deszcz kropił od samego rana, uniemożliwiając szybkie posuwanie się. Ciężkie konie artyleryi poślizgiwały się ciągle na rozmiękłym żwirze bitego gościńca.

Wolno, z trudem wlókł się olbrzymi wąż, krok za krokiem.

Od czasu do czasu spadał z czarnych chmur rzęsisty deszcz, a wtedy otulał się żołnierz w płaszcz, mimo letniej pory. Zmęczenie i nie-

wywczasowanie pozbawiło go ogrzewającego z wewnątrz cieplika.

Nie tak wesoło, jak dwa dni temu, wyglądała okolica, którą wojsko niemieckie mijało.

Ciche, ponure, opuszczone przez włościan wioski, posmutniały nagle, jak gdyby nad niemi okrutna przeszła zaraza. Drzwi i okna domków stały otworem, a z kominów nie wysnuwały się wstęgi błękitnego dymu.

Mieszkańcy uciekli przed wrogami, zabrawszy z sobą wszystkie stworzenia żyjące. Ani pies nie szczeknął, ani kur nie zapiał. Tylko kruki i sępy, zwietrzywszy już obfity żer, ciągnęły za taborem.

Kiedy armia opuszczała rano obóz pod Weissenburgiem, spotkała po drodze mnóstwo małych wózków. Na każdym z nich leżało po kilku ludzi, z każdego wydobywały się stłumione jęki.

To wieziono rannych do lazaretów.

Znaczyli oni ślady swoje krwią, która rumieniła kamienie i piasek.

Tu i owdzie podniosła się obandażowana głowa Francuza i strzeliły w stronę Niemców dwa ostre promienie, z roziskrzonych tryskające oczu, lub odezwała się cicha klątwa.

Śpiew nie dodawał dziś ochoty nogom,

a choć orkiestry grały, nie rozlegały się dźwięki ich tak podbudzająco, jak wczoraj i pozawczoraj.

Był już wieczór, kiedy armia następcy tronu zbliżyła się do miasteczka Wörth, rozrzuconego szeroko nad rzeczką Sauer.

Rozwinięto obóz w dolinie, rozpalono ogniska, lecz nie zabrano się do spoczynku.

Bo w otoczeniu księcia Wilhelma wiedziano od kilku godzin, że marszałek Mac-Mahon, zamiast cofnąć się przed przeważającą siłą i czekać na posiłki, opuścił Hagenau z trzema dywizyami i rozbitkami Douay'ego i wysunął się aż pod Fröschweiler.

Stanął on nieco wcześniej od Niemców po drugiej stronie rzeki Sauer z zamiarem powstrzymania nieprzyjaciela na progu Francyi.

Sztab niemiecki dziwił się temu zuchwalstwu zwycięzcy z pod Magenty. Zaledwie cztery dywizye przeciw czterem korpusom—to chyba żarty! Lecz Mac-Mahon ufał swojemu szczęściu i swoim zdolnościom.

— *Revanche* za srom weisenburski!

Pruscy oficerowie sztabu, którzy wyjechali na zbadanie stanowisk francuskich, wrócili niebawem z dokładnemi wiadomościami.

Zaraz, po drugiej stronie rzeczki podnosiła się nizina, tworząc długi, spłaszczony u szczytu pagórek, zasiany, jak pod Weissenburgiem, willami i pokryty winnicami. Dwie wsie zamykały wyżynę z obydwóch stron, z prawej Fröschweiler, z lewej Elsasshausen. W środku, na dole, po stronie armii pruskiej, rozłożyło się miasteczko Wörth.

Pagórek ten obsadził Mac-Mahon swojemi dywizyami, dodawszy do każdej w celu osłony kilka bateryj. Konnicę ustawił w rezerwie z tyłu linii bojowej, za lewem skrzydłem.

Oficerowie pruscy zrozumieli odrazu, że i pod Wörth powtórzy się to samo, co nastąpiło pod Weissenburgiem; że szturm i bagnet rozstrzygną bitwę. Wyborne stanowisko Mac Mahona nie sprawiało im wcale przyjemności.

— Wygramy, ale okupimy zwycięztwo wielkiemi stratami...

Była już noc, kiedy z głównej kwatery wyszły rozkazy.

Wojsko niemieckie zalało całą dolinę rzeki Sauer. Prawe skrzydło, oparte o wsie: Lambach i Treuschdorf, zajęły dwa korpusy: drugi bawarski i piąty pruski; na lewem stanął jedenasty. Reszta cofnęła się w tył, jako rezerwa.

Gdy dano znak do spoczynku, rzucił się żołnierz tam, gdzie stał, na ziemię, nie troszcząc się o wilgoć. Byle spać...

Nie rozbierał się nikt. Nawet oficerowie zasypiali w pełnym uniformie, podłożywszy tornistry pod głowy. Kawalerzysta podłożył sobie pod głowę siodło, artylerzysta objął ramieniem lufę armaty, i drzemali, stojąc, budząc się ciągle za najmniejszym szelestem. Bojaźliwy pisał przy słabem świetle ognisk na bębnie lub na kolanie list do rodziny... ostatnie pozdrowienie do matki, siostry.

Bolesławowi wypadło przepędzić prawie całą noc z 5-go na 6-ty sierpnia na czatach. Kompania jego pełniła dziś służbę jednego z wielu stróżów, rozstawionych wzdłuż rzeki.

Odwiedziwszy wszystkie posterunki, usiadł nad wodą, na mokrym piasku i oparł głowę na dłoni, a łokieć na kolanie.

Bystre fale górskiego potoku szemrały u jego stóp, błyszcząc ponuro w ciemnościach nocnych. Nie srebrzył ich promień księżyca, nie ożywiał plusk rybek.

Wielka cisza panowała dokoła. Z obozu dochodził tylko od czasu do czasu głos oficera, który obchodził widety, lub rozlegała się komenda zmienianej warty.

Tylko po drugiej stronie rzeki, między winnicami, na stokach pagórków, ruszało się coś ciągle.

Francuzi kopali tam rowy i rzucali szańce dla obrony bateryj.

Bolesław patrzył przed siebie, na białe światełka, migocące wśród drzew, a myśli jego pomknęły daleko, do miasteczka rodzinnego, do kamienicy na rynku.

Tam cieszył się jego ojciec wygraną, a matka?...

Dziwne bywają nieraz skutki nierozwagi, popełnionej w pierwszej młodości...

Ojciec raduje się, matka płacze, a on?

On skarży się zcicha: dolaż moja, dola...

Walczył wczoraj, jak bohater, i jutro pójdzie naprzód, gdy rykną działa, bo krew żołnierska nie wytrzyma, lecz serce jego nie czuje zadowolenia. Nie bije ono dla sprawy, którą mu każe kochać przysięga, złożona pod sztandarem pułku, i... rodzic.

On był mu niedawno tak blizkim, a stał się tak dalekim...

Bolesław zadrżał. Zimne dreszcze wstrząsnęły nim.

Obejrzał się.

— Wojciechu! — wyrzekł stłumionym głosem.

— Jezdym, paniczu — odparł sługa, który czuwał przy panu.

— Czy nie masz czasem wódki w manierce?

— Jest tu jeszczyk okruszyna winna, tegu gorzkigu, co to panicz wie.

— Dawaj!

Bolesław napił się burgunda i pochylił znów czoło. Przykre myśli ścigały się w jego mózgu, goniąc jedna drugą. Żadna z nich nie przynosiła mu ulgi.

— Wojciechu! dlaczego ty nie śpisz?—zapytał po dłuższem milczeniu.

— Bo nie moge.

— Połóż się; czeka cię jutro ciężka robota.

— Nie moge, paniczu, nie moge. Cingim mi się widzi, co ktoś do mnie jakoby godo: nie zabijej brata, nie zabijej! Tak mi straszno, paniczu.

— O, i mnie—szepnął Bolesław.

— Kiejby tak drapnońć, paniczu. Nocka ciemno, kiejby piekło, a woda blizko. Buch do rzeki i już byndziema u Chrancuza.

— A jutro będziemy razem z Francuzami strzelać do swoich.

— Olo Boga! Dyć to prawda!

Chłop schwycił się obiema rękami za głowę i targał się za włosy z wielkiej żałości.

— Bodaj ich choroby świgały!—zaklął.

I znów milczeli przez długi czas, pan i sługa, trawieni gorzkiemi myślami.

Pierwszy odezwał się Wojciech.

— Jak byndzie, paniczu?—zapytał

— Nie wiem, ale w każdym razie patrz podczas bitwy na mnie i zrób to samo, co ja uczynię.

— Wywalę gały, kiejby cybule, o, pewnikiem, paniczu—mruknął Wojciech.

Właśnie nadszedł nowy oddział, zwalniający kompanię Bolesława.

W chwili, kiedy Frankenstein wracał do obozu pruskiego, wszczął się między Francuzami większy ruch. To generał Dumesnil przybiegł z dywizyą swoją na pomoc Mac-Mahonowi, przemaszerowawszy całą noc.

Późno przebudził się dzień 6-ty sierpnia. Kiedy się tumany białej mgły, unoszące się nad niziną, rozpłynęły, spostrzegły dwa wojska, że dzieli je tylko wązka Sauer.

Forpoczty niemieckie stały z jednej strony, francuskie z drugiej.

Przez kilka chwil przypatrywali się sobie wrogowie, potem odezwały się karabiny. Wi-

dc'y strzelały do siebie, nie czekając na znak do boju.

Mimo to wahał się jeszcze następca tronu pruskiego, czy zaczepić już dziś Mac-Mahon'a. Marszałek bowiem, choć znacznie słabszy, wybrał sobie bardzo dobre stanowisko, a Niemcy mieli już pod Weissenburgiem próbkę waleczności i zręczności starych wiarusów francuskich.

Jeszcze rozważał główny sztab, czyby nie było lepiej obejść nieprzyjaciela i zmusić go do zajęcia innego stanowiska, gdy artylerya francuska przecięła dalsze namysły rozpoczęciem kanonady.

Gorętsi i nieopatrzniejsi Bawarowie, którzy stali na lewem skrzydle niemieckiem, w pobliżu Gunstadt, odpowiedzieli natychmiast czterema bateryami i uniemożliwili w ten sposób zmianę planu.

Około godziny dziewiątej grzmiały już działa na całej linii bojowej.

Kule rozdarły reszki mgieł, granaty spadały z sykiem jadowitych żmij, warczały mitraliezy, a echa wystrzałów roznosiły daleko wrzawę bitwy. Drżała ziemia, brzęczały szyby w oknach willi i domów, pękające od samego wstrząśnie-

nia. Z głośnym krzykiem wzbijało się w górę spłoszone ptastwo i uciekało na wszystkie strony.

Jak tylko okiem można było zasięgnąć, wszędzie roiło się wojsko w różnobarwnych mundurach, a po nad niem migotały błyskawice i unosiły się gęste kłęby szarego dymu.

Huk następował po huku tak szybko, iż zdawało się, że wszystkie pioruny Francyi zbiegły się na jedno miejsce, aby odstraszyć wroga od granic cesarstwa Bonapartych.

I znów zbladł młody żołnierz pruski, bo nie słyszał jeszcze takiego łoskotu. Co się działo pod Weissenburgiem, było tylko zabawką w porównaniu z tem, co teraz widział i słyszał.

Koniec świata! Cała okolica, góry i lasy, jary i parowy wtórowały głuchym jękiem.

Zdziwił się i Bolesław, który stał ze swoją kompanią na samem czele piątego korpusu. Granaty francuskie padały tuż przed nim, a nad nim pomagało czternaście bateryj generała Kirchbacha do wytworzenia straszliwego koncertu. Szły kule górą, szły dołem, jedne w tę, drugie w tamtą stronę, a prawie żadna z nich nie chybiała celu.

Wojciech, trzymający się boku swego pana, nachylał się ciągle i szeptał:

— A słowo stało się ciałem! Paniczu, to Sodoma i Gomora.

— Oj, Sodoma i Gomora, prawda—odpowiedział Bolesław.

Gdy ochłonął z pierwszego wrażenia, czuł, że mu się pierś rozszerza. Było coś wspaniałego, podniosłego w tej straszliwej muzyce, coś, co kazało zapomnieć o drobnych swarach powszedniego życia, a usposabiało człowieka do czynu bohaterskiego i do pogardy śmierci.

Ogień rotowy, utrzymywany bez przerwy w szeregach francuskich, utonął w morzu olbrzymiej wrzawy.

Choć strzelców Mac-Mahon'a, rozrzuconych długim łańcuchem u stóp wzgórza i ukrytych w splotach winnych latorośli, nie było ani widać, ani słychać, ich pociski trafiały nadzwyczaj celnie.

— Szlusuj, szlusu!—wołali co chwila oficerowie piechoty pruskiej, która poniosła wiele strat, zanim posunęła się na krok naprzód.

Blizko dwie godziny trwał ten pojedynek artyleryi.

Trupy padały tak gęsto, że trzeba je było usuwać, aby nie zawadzały żywym.

Już zaczął się cierpliwy żołnierz pruski nic-

cierpliwić, kiedy około godziny jedenastej dały bębny znak do ataku.

Przez rzekę Sauer prowadził most na drugą stronę. Ten most trzeba wziąć! Któż podoła temu zadaniu? Ktoby inny, jeżeli nie dywizya Sandrart'a? Zdziesiątkowano ją wprawdzie pod Weissenburgiem, lecz cóż to szkodzi? Ktoby tam oszczędzał regimentów szląskich i poznańskich?...

Sam Kirchbach nadbiegł przed front. Spojrzał na żołnierzów, przemówił do nich kilka słów, potem wskazał ręką na Wörth.

— Marsz, marsz!

— Marsz, marsz! — powtórzyli pułkownicy, kapitanowie i oficerowie.

Błysnęły szpady w powietrzu, i poszły regimenty Sandrart'a ku Wörth z głośnem: hurra.

Za niemi grały armaty Kirchbacha, torując piechurom drogę, a przed niemi rozlegały się dźwięki orkiestry.

Dziwna pieśń wypływała z trąb i z fletów, z piszczałek i klarnetów.

Bartkom, Wojtkom i Maćkom zrobiło się od niej tak ciepło koło serca, tak mokro w oczach, że nie czuli już strachu i nie widzieli nic przed sobą okrom nieprzyjaciela.

— Marsz, marsz, nie zginiemy, nie zginiemy!

I szli przed siebie z głowami pochylonemi, jak roznamiętnione dziki, i nie oglądali się w tył, choć szeregi ich chwiały się, rozprzęgając się coraz więcej. Szasepoty bowiem nie próżnowały.

Już stoją nad rzeką, już tłoczą sie na most, a kto nie ma miejsca na wązkiem przejściu, ten chwyta karabin w zęby i rzuca się do wody.

Rumienią się fale potoku górskiego, ale Maćki idą, bo dziwna pieśń zaprasza, namawia, pcha do śmiertelnego tańca.

— Nie zginiecie, nie zginiecie!

Góra trupów zasłała most, lecz ocaleni dostali się na drugą stronę. Za dywizyą Sandrart'a śpieszą pułki generała Schmidt'a, świeże, nietknięte jeszcze.

Połączywszy się, rzucają się obie dywizye na generała Raoult'a, który strzeże wioski Wörth.

Francuzi wypadli z ukrycia i utworzyli żywą przeszkodę. Twardsza ona, mocniejsza, aniżeli mury forteczne.

Żołnierze Mac-Mahon'a walczą z zaciętością skazańców, z rozpaczą wojowników, którym honor droższy nad wszystko.

Prowadzi ich sam generał. Raoult nie stoi gdzieś daleko za swoją dywizyą, jak dowódcy

pruscy, bo wspiął konia ostrogami i pędzi przodem.

— Za mną, za mną!

On nie zasłania się niczem. Widać go, słychać nawet, jak zagrzewa swoich do wytrwania.

Więc zmierzył się do niego jakiś piechur niemiecki i wystrzelił.

Raoult rzucił się w górę i padł na ziemię.

Szabla nie błyśnie już w jego dłoni, ręka krzepnie na wieki.

Straszny krzyk rozległ się dokoła.

— Śmierć Niemcom! — wołają Francuzi.

Pasują się dywizye poznańskie z sierotami Raoult'a, wzięły się i pułki XI-go korpusu Bose'go za bary z prawem skrzydłem francuskiem.

Już wre walka na całej linii, ramię do ramienia, pierś do piersi. Ludzie przestali być udźmi. Przebudziło się w nich zwierzę drapieżne.

A świecą im, choć dzień to przecież, dwie wielkie pochodnie. Po stronie francuskiej pali się Elsasshausen, po niemieckiej Gunstadt. Kule armatnie podłożyły ogień.

Szala zwycięztwa chwieje się przez całe trzy godziny. Zdaje się, że Francuzi wrośli w zie-

mię, że ich żadna siła nie poruszy z miejsca. Stoją, jak opoki, niezłomni, zawzięci.

— Śmierć albo zwycięztwo!

Coraz to inne, świeże pułki rzuca wódz niemiecki na pastwę bogom wojny, ale Mac-Mahon wiedział, komu rozkazywał. Daremnie walą się różne ludy germańskie na Francuzów. Oni bronią się i nie myślą ustąpić.

Wprawdzie zginął Raoult, wprawdzie posunęli się waleczni piątego korpusu aż pod Fröschweiler, ale tu stanęli, nie mogąc wydrzeć wrogom ani jednej piędzi ziemi. A dywizye Lartigue i Dumesnil wyparły nawet Bose'go z Gunstadt.

— Więc grajcie działa i szerzcie zniszczenie...

Naraz odezwały się znów wszystkie baterye niemieckie. Granaty spadały tak gęsto na piechotę francuską, że opór stał się niemożliwym.

Lartigue i Dumesnil cofnęli się do pierwotnego stanowiska, a za nimi podążył cały korpus Bose'go.

Uderzenie było tak silne, iż szyk francuski złamał się w jednem miejscu.

Spostrzegł to Mac-Mahon, który kierował zdala bitwą, i targnął się z gniewem za biały wąs.

— Zaleją nas swą masą, jeśli nas przedzielą — mówi wódz.

— Trzeba złączyć napowrót przerwane ogniwa łańcucha — dodaje generał Colson, szef sztabu.

Mac-Mahon spojrzał na prawe skrzydło.

Tam stoją brygady Nansouty'ego i Michel'a. Zbroje kirysyerów świecą, jak srebrzyste tarcze, na przylbicach ich powiewają ogony końskie. Wspaniale wygląda ta kawalerya; przypomina ona świetne rycerstwo średniowieczne.

Kilka chwil patrzył zwycięzca z pod Magenty z serdecznym żalem na dzielnych jeźdźców, potem machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Niema rady, trzeba ich poświęcić...

— Michel i Nansouty niech powstrzymają falę niemiecką! — rozkazał.

Już pędzi adjutant na prawe skrzydło, niosąc zgubną dla konnicy wieść.

Kiedy Michel'owi przyniesiono rozkaz wodza, spojrzał nasamprzód przed siebie, na nierówny teren, potem na oficera sztabu.

Zdziwione jego oczy mówiły;

—. Szarżować kawaleryą piechotę na takie oddalenie i w takiem położeniu? Ależ to szaleństwo!

Lecz usta jego milczały. Wódz każe, żołnierz słucha...

Stanął przed frontem, wspiął konia ostrogami i krzyknął:

— *En avant!*

Runęła za nim brygada. Błysnęły zbroje i hełmy, zadzwoniły miecze, ziemia zadrżała pod kopytami koni.

— Za mną, za mną! — wołał Michel.

Jego długa, siwa broda rozdzieliła się od wiatru na dwie połowy, do żagla podobna.

Niemcy zdziwili się zrazu temu zuchwalstwu rycerskiemu. Stanęli, spoglądając ze zdumieniem na błyszczącą chmurę, która zbliżała się ze szczękiem i chrzęstem.

Zdawało się, że kawalerya wpadnie na piechotę z siłą tysięcy gromów, że strzaska ją, zdepcze, zmieni w proch.

Lecz już rozlegała się komenda:

— Cel, pal!

Świsnęły kule, w brygadzie Michel'a powstało niesłychane zamieszanie. Konie rzucały się w tył, żołnierze spadali z nich ciężko, z łoskotem.

Michel obejrzał się.

Pięciuset kirysyerów tarzało się we własnej krwi.

— Nawrócić, nawrócić!

Widząc to, nie poszedł Nansouty śladem towarzysza. Na co?

Była godzina trzecia po południu, kiedy generał Bose, uprzątnąwszy z drogi kawaleryę Michel'a, uderzył siłą całego, świeżego jeszcze korpusu na środek francuski, rozrywając ostatecznie szyk bojowy Mac-Mahon'a.

Prawe skrzydło, pchnięte w tył falą uciekających kirysyerów, rozprzęgło się, straciwszy czucie z całością, a środek, rozbitkowie Douay'ego i dywizya Dumesnil'a, która, przemaszerowawszy całą noc, pracowała już od samego rana wśród największego ognia, nie mógł wytrzymać potężnego parcia całego korpusu pruskiego.

Trzymało się dotąd jedynie lewe skrzydło Mac-Mahon'a, oparte o wieś Fröschweiler, do której szturmowały daremnie pułki poznańskie.

Trzy razy ponawiał piąty korpus atak na dywizyę Ducrot'a i sieroty Raoult'a; trzy razy odrzucono go. Żołnierze byli tak zmęczeni, że siadali, gdzie się tylko dało, nie troszcząc się wcale o kule szasepotów. Niech zabiją, ażeby się już raz ta mitręga skończyła.

Wtem nadbiegli adjutanci Kirchbacha z rozkazami dowódcy.

— Ustawić się jeszcze raz i uderzyć wspólnie z korpusem jedenastym!

Bose szedł już pod górę, podbudzany muzyką wszystkich kapeli wojskowych do wytrwania.

Na widok wielkiej masy wojska wróciła odwaga znękanej dywizyi Sandrart'a.

Zagrano i jej, a zagrano znów tę dziwną pieśń, której melodya zmienia krew w żyłach w war kipiący.

— Marsz, marsz! Nie zginiecie, nie zginiecie!

I poszli wojacy Kirchbacha ku Fröschweiler, a za nimi walił się cały korpus.

Z dwóch stron zbliżało się morze bagnetów do ostatniego posterunku Mac-Mahon'a, nierozerwalnym obejmując go pierścieniem. Czego nie dokona odwaga, tego dopełni ilość.

Bohaterska zaciętość Francuza nie starczy za trzech, za czterech. Posiada on tylko jeden karabin i tylko dwie ręce. Daremne jego trudy; musi uledz przemocy.

Już dopadli Niemcy rowów i okopów, broniących bateryi Ducrot'a.

I znów zmieszały się barwy i ustały komendy. Każdy walczy na własną rękę.

Bolesław Frankenstein biegł z innymi, nie mając już kogo pilnować, bo prawie cała jego

kompania leżała tam, na dole wśród winnych latorośli. Boku jego trzymało się zaledwie dziesięciu ludzi razem z Wojciechem.

Brudni, zakurzeni, obłoceni, obryzgani krwią poległych towarzyszów, spotniali — mordowali na prawo i lewo z głuchą wściekłością rozbitków.

Bolesław rzucił szpadę i wyrwał z rąk jednego z żołnierzów karabin. Obróciwszy go, torował sobie kolbą drogę do armat.

Jakiś oficer francuski, widocznie już ranny, bo miał lewą rękę obwiązaną, chciał go szablą powstrzymać.

Bolesław uderzył go tak silnie w pierś, że powalił go natychmiast.

— Boże, Boże!—zawołał Francuz po polsku.

— Matko, módl się za mnie!—krzyknął Bolesław i, pchnąwszy się bagnetem w stronę serca, osunął się na ziemię.

— Paniczu, paniczu! — wrzasnął Wojciech i już schwycił jakąś porzuconą szpadę, aby uczynić to samo, co jego pan, kiedy go kula francuska wyręczyła.

Coś uderzyło w niego, ukłuwszy go lekko. Chłop schwycił się prawą ręką za lewe ramię i rozciągnął się obok Bolesława.

A naokoło nich szalała bitwa ostatniem wytężeniem.

Więcej, coraz więcej ścieśniał się pierścień bagnetów niemieckich.

Sam Mac-Mahon prowadził resztki dywizyi Raoult'a. Zginął w jego oczach generał Colson, legło wielu wyższych oficerów, ale on szedł naprzód z papierosem w ustach, jak na przechadzkę.

Wtem doniesiono mu, że Niemcy otaczają wzgórze, aby mu zamknąć jedyne przejście

Stary wojak westchnął, spojrzał ponuro na wrogów i, rzuciwszy papierosa, wyrzekł tylko:

— Odwrót!

Po raz pierwszy to w życiu uchodził książę Magenty z placu boju. I to przed kim? Przed owymi „*Prussiens*," naprzeciw którym nie raczył nawet wyjść do Weissenburga. Ale oni przybyli do niego...

Prawe skrzydło, które straciło czucie z całością, uciekało w największym popłochu ku Strasburgowi przed pogonią jazdy niemieckiej. Lewe i centrum wycofało się w porządku z krwawych zapasów, zdążając przez Reichshofen do Niederbronn.

Nazajutrz ciągnęły niezliczone wózki szosą ku Weissenburgowi. Wiozły one ofiary z pod Wörth.

Blizko 20,000 rannych i poległych zasłało dolinę rzeczki Sauer i pagórek między Elsasshausen a Fröschweiler.

XI.

Kiedy służba zdrowia znalazła wieczorem po bitwie okrwawionego Bolesława pod kołami zdobytej armaty francuskiej, oglądał lekarz bardzo długo jego ranę. Nie umiał sobie wytłómaczyć jej pochodzenia.

— Takich śladów nie zostawia po sobie bagnet francuski — mówił doktór do siebie.

Nie było zresztą naokoło ani jednego szasepota; obok rannego leżał tylko karabin pruski.

— Czyby go pchnął który z jego własnych żołnierzy?

— Ale to być nie może, bo Frankenstein'a lubiono powszechnie w pułku. Wiarusi szli za nim w ogień, jak do tańca.

— Dziwna rana — mruczał lekarz, opatrując omdlałego.

— Wziąć pana porucznika ostrożnie na no-

sze — rozkazał felczerom — i ułożyć go wygodnie, aby się zanadto nie trząsł.

Nazajutrz jechał Bolesław razem z innymi do lazaretu wejsenburskiego.

Smutny ten korowód posuwał się wolno bitym gościńcem, konwojowany przez oddział jazdy.

Małe wózki chłopskie skrzypiały zcicha, jakby się skarżyły na okrucieństwo ludzi, siostry miłosierdzia, które pilnowały chorych, szeptały modlitwy, lekarze wydawali ciągle rozporządzenia.

I, jakby na urągowisko, błyszczał dziś nad okolicą górską pogodny, jasny ranek i rozlegały się dźwięki muzyki, postępującej na czele nowych oddziałów, co spieszyły od strony Niemiec do głównej armii.

Widok tylu kalek nie ostudził zapału zdrowych wojowników. Szli z pieśnią na ustach, bo żaden z nich nie wierzył, aby go jutro mógł ten sam los spotkać.

Tak mijają się na ulicach wielkich miast pochody weselne i pogrzebowe. Łzy mieszają się z uśmiechem, radość nie blednie w obliczu śmierci, i... nikt się temu nie dziwi.

Bolesław ocucił się już wczorajszej nocy.

Nie sama rana pozbawiła go przytomności, lecz nadzwyczajny upływ krwi.

Bagnet nie przebił serca, jak zamierzał.

Pchnięty szybko, drżącą ręką, zsunął się po żebrach, ominąwszy płuca.

W Weissenburgu umieszczono Bolesława w osobnym pokoiku razem z Wojciechem, który nie chciał pana odstąpić, choć nie mógł mu służyć, bo i jemu zalecono kilkotygodniowy spokój.

Chciał przynajmniej być przy nim i patrzeć na niego.

W pierwszych dniach nie pozwoliła Bolesławowi gorączka korzystać z towarzystwa Wojciecha. Osłabiony i dręczony dotkliwym bólem, nie miał ochoty do rozmowy ze sługą.

Leżeli więc obok siebie w milczeniu, śpiąc więcej, aniżeli czuwając.

Pamiętano o nich bardzo troskliwie, bo sam Sandrart polecił swego „najmężniejszego oficera“ opiece naczelnika lazaretu.

Lekarz ordynujący odwiedzał ich kilka razy na dzień, a przy łożu Bolesława zmieniały się ciągle siostry miłosierdzia.

Cicho i głucho było w salach, zapełnionych chorymi. Czasem tylko podnosił się szmer, prze-

platany jękiem i klątwą. Działo się to zawsze, kiedy lekarze przynosili wiadomości o nowych zwycięztwach wojsk niemieckich. Prusacy radowali się wówczas, a Francuzi złorzeczyli losowi, który upokorzył tak straszliwie ich dumę.

Szybko szły po sobie walne bitwy. Lała się krew pod Pange, pod Mars-la-Tour, a pod Gravelotte płynęła potokami. Żołnierze Napoleona III bili się wszędzie z dzielnością, przynoszącą zaszczyt ich odwadze wojskowej, lecz w każdem miejscu musieli ustąpić przed zbyt widoczną przewagą.

Nie obliczyli się z siłami i ponosili skutki lekkomyślności.

Każdą wiadomość o nowej wygranej Prusaków witał Wojciech zgrzytem zębów. Wyglądał wtedy, jak brytan, który usiłuje się urwać z łańcucha.

— Żeby ich wciornaści, żeby ich siarczyste— warczał, rzucając się na posłaniu.

Bolesław nie gryzł jawnie wędzidła, lecz smutniał coraz więcej.

Po dwóch tygodniach zaczęli obydwaj ranni wracać do zdrowia. Chodzili już po swej klatce lub wysiadywali w ogrodzie pod cienistemi drzewami.

— Co byndzie, paniczu — zapytał pewnego

razu Wojciech swego pana — kiej dochtory powiedzom, co możymy sobie jakoby iść do dyobła.

— To sobie pójdziemy — odparł Bolesław.

— Abo to nos uni puszczom? Popendzom człowieka znów na Chrancuza.

— Zobaczymy.

Wojciech nie pytał dalej, wiedział bowiem, że pan nie lubi się przed czasem zwierzać.

Zwiesiwszy głowę, szedł obok Bolesława aleją, wysadzaną kasztanami.

Chłop myślał swoje, pan swoje.

Gdy wrócili do celi, oświadczył im posługacz, że jakiś pan przyjechał do pana porucznika z *Vaterland'u*.

Jeszcze nie miał Bolesław czasu dowiedzieć się o gościa, kiedy do pokoju wszedł radca Frankenstein i, podbiegłszy do niego, uścisnął go serdecznie:

— Mój synu, mój drogi synu! — mówił po niemiecku.

Potem usiadł przy nim i zaczął go wypytywać o przebieg choroby.

— Jestem dumny z ciebie! — wyrzekł w końcu — dumny, że mam syna, który nie odstąpił od tradycyj naszego domu. Masz teraz zape-

wnioną karyerę, możesz pójść wysoko, gdy tylko zechcesz.

— Nie dla karyery biłem się odważnie, mój ojcze — odpowiedział Bolesław — lecz tylko dlatego, aby ci dowieść, że i syn Jadwigi Różanowskiej może być walecznym.

Cień niechęci osnuł czoło radcy.

— Sądziłem, że widok dzielności armii niemieckiej wypłoszy z twego serca dziwne uprzedzenia do narodu, do którego należysz pochodzeniem — mówił, zmarszczywszy brwi.

— Byłem świadkiem cudów odwagi po stronie francuskiej.

— Nie przeczę, że żołnierze Mac-Mahon'a zrobili wszystko, co było ich obowiązkiem, lecz u nas jest więcej rozumu, i dlatego zwyciężamy.

— Przymiotu tego nie mogę ocenić, mój ojcze, bo, jak wiesz, nie odznaczali się Polacy nigdy zbytnią przezornością.

— Przeklęcie! — zaklął radca zcicha. — Byłoż mi to potrzebne?

Kilka minut milczeli, ojciec i syn, czując, że przelana krew nie zlepiła starganej nici, która niegdyś serca ich łączyła.

Radca przygryzł wąsa, a Bolesław patrzył przez okno na ogród.

Byli tak blizcy siebie i tak dalecy...

— Mniejsza już o twoje dzisiejsze poglądy— odezwał się radca pierwszy — dość, że nie zrobiłeś mi wstydu. Ponieważ złożyłeś już ojczyźnie należny jej dług, przeto wrócisz zaraz po wyzdrowieniu do domu. Reszta zrobi się sama. Mniemam, że czas nie przejdzie i po tobie bez śladu.

— Wrócić nie mogę, mój ojcze, bo czeka mnie jeszcze jeden obowiązek. Uczyniwszy zadość woli twojej, winien jestem uwzględnić i sympatye matki.

Badawczo spojrzał radca na syna.

— Co ty zamierzasz uczynić? — zapytał.

— To, co będę uważał za właściwe.

— Synu mój, synu, bądź rozumnym!

— Powiedziałem już raz, że Polacy nie lubili nigdy spokojnej rozwagi.

— W takim razie będę ja za ciebie myślał. Strzeż się, bo każę cię pilnować.

— Bardzo dobrze, że o tem wiem.

Pożegnanie ojca z synem nie było tak serdeczne, jak powitanie. Uścisnęli się obojętnie i rozeszli się z wzajemnym do siebie żalem.

W tydzień potem przechadzał się Bolesław w pełnym mundurze po ogrodzie lazaretu.

Był już zdrów. Jutro miał wracać z Wojciechem do pułku.

— Wojtek — odezwał się do swego „bursza“ — czy ty pójdziesz ze mną ot tam, daleko?

I wskazał ręką na południe, w stronę Strasburga.

Żołnierz spojrzał na oficera głupkowatemi, wyłupiastemi oczami, potem roześmiał się całą, szeroką gębą i zawołał:

— A juści, paniczu!

— A jak nas Niemcy złapią!

— A bo to nie momy ślipiów, coby nos mieli dojzdrzyć?

— A mamy.

— A widzi panicz, he, he, he.

Wojciech pokazał aż wszystkie zęby z radości, że pana też raz czegoś nauczył.

— To bądź gotów!

— Już jo ta nie zaśpie.

Nazajutrz nie zastał posługacz, przynoszący śniadanie, w celi ani oficera, ani jego ordynansa.

Przepadli gdzieś w nocy.

Daremnie szukano ich w okolicy. Zniknęli bez wieści.

XII.

I znów błysnęły tysiące świateł w oknach domów małej mieściny, w której mieszkał radca Frankenstein, i powiały chorągwie na wszystkich dachach.

Patryoci niemieccy okrążali ratusz ze śpiewem i muzyką, jak w ów wieczór po pierwszem zwycięztwie, odniesionem przez następcę tronu pruskiego nad Francuzami.

Bo telegraf przyniósł wiadomość niezwykłą, niesłychaną: Napoleon oddał szpadę swoją Wilhelmowi!

Runęła pod Sedanem potęga drugiego cesarstwa, rozpłynęła się sława oręża francuskiego.

„Odwieczny wróg“ upokorzony, poniżony, zepchnięty z zajmowanego dotąd przez niego stanowiska, Francya pokonana!

Barbarosso! Możesz teraz zasnąć spokojnie

razem ze swemi krukami! O czem marzyłeś przez tyle wieków, spełniło się. Korona cesarska spocznie na głowie króla Prus i połączy zwaśnione dotąd ludy niemieckie.

Spadkobierca wielkiego wojownika, który zdeptał ciężką stopą potomków Armina, schylił się przed synem monarchy, nienawidzonego najwięcej przez słynnego cezara.

Więc radował się „naród myślicielów," paląc miliardy świec i wypijając morze piwa.

Rzecz dziwna!

Radca Frankenstein, który pracował od chwili wypowiedzenia wojny tak usilnie dla „sprawy ojczyzny," iż odebrał z Poznania od komendy wojskowej już kilka podziękowań i obietnicę przedstawienia go do nowego orderu, nie wybiegł dziś do ziomków, aby im wymownemi słowy wytłómaczyć znaczenie wypadków z dnia 2-go września.

Wprawdzie świecą okna i jego mieszkania, a z balkonu zwieszają się długie wstęgi białego i czarnego płótna, lecz on sam nie bierze udziału w powszechnem weselu.

Siedzi w gabinecie, przed biurkiem i spoziera ponuro na biały papier, który leży przed nim.

Brwi jego ściągnęły się, usta drgają nerwowo, a piersi oddychają z trudem.

Był jeszcze przed godziną tak zdrów, tak wesół, a obecnie wygląda, jak gdyby go niespodziewana dotknęła niemoc. Wielkie krople potu sączą się z jego czoła, spływając wolno po skroni.

Przysłano mu z poczty jakiś list z Weissenburga.

Gdy jego treść odczytał, pochylił się, oparł ręce na kolanach. Robił wrażenie człowieka, na którego barki spadł nagle wielki ciężar.

Przetrwawszy długo w tej postawie, dźwignął się z krzesła, odetchnął głęboko i zaczął szybkiemi krokami przemierzać pracownię.

Z ulicy dochodził szum okrzyków, ale radca słyszał tylko jęk boleści własnego serca. Nie miał w tej chwili ucha dla wrzawy patryotycznego zachwytu.

Ilekroć mijał drzwi, wiodące do salonu, marszczył się jeszcze więcej i rzucał do wnętrza spojrzenie, pełne gniewu.

Tam spoczywała na zwykłem miejscu jego żona, lecz nie przeglądała już ilustracyj warszawskich, tylko modliła się ze starej, wytłuszczonej książki. Pamiątka to po jej matce.

Włosy radczyni zbielały, czoło sfaldowało

się, a dolna jej warga obwisła, jak gdyby przesycona goryczą.

Ostatnie tygodnie nie przyczyniły się wcale do odświeżenia jej więdnącej cery.

Każda klęska Francuzów wyciskała łzy z jej oczu, wieści od syna niepokoiły ją, a reszty dokonał nieprzyjemny stosunek żony do męża.

Była to już stara kobieta.

Wiedziała ona o ranie Bolesława, choć nie domyślała się jej powodu. Doniesiono jej także, że znikł z lazaretu razem z Wojciechem.

„Pewno go Francuzi zamordowali gdzie na uboczu“ — pisała władza wojskowa.

W liście oficerów zapisano go, jako: „*verschollen*,“ jak wielu innych.

Zapewne. Bo cóżby innego? Dzienniki podały już niejeden przykład skrytobójczej zemsty zwyciężonych.

Radczyni nie rozpłakała się wcale. Wylała już tyle łez...

Otworzyła tylko książkę do nabożeństwa i zaczęła odczytywać modlitwę za poległych.

Nad czynnością tą zastawał ją nieraz biały świt. Usta jej poruszały się w końcu machinalnie.

Nie przeszkodziła jej w tej smutnej pracy wrzawa gawiedzi.

Przywykła już do korowodów z pochodniami i do śpiewów mieszczuchów.

Niemcy wrzeszczeli za oknami, jakby ich kto ze skóry odzierał, a radczyni modliła się.

Słyszała ona przez uchylone podwoje kroki męża.

Znała go zanadto, by nie wiedziała, że mu coś dolegało

Radca chrząkał i rozmawiał z sobą, co było zawsze dowodem jego wewnętrznego wzburzenia.

Dawniej, przed ową nieszczęsną wojną, byłaby się do niego natychmiast zbliżyła i objąwszy go kochającem ramieniem, spłoszyła z czoła troskę słowem pieszczotliwem.

Lecz dziś?

Dziś nie miała odwagi przestąpić progu, który dzielił ją od niego, niepewna, czy jej nie odepchnie od siebie.

On nie przemówił do niej od miesiąca ani słowa, nie chcąc używać języka, którym poprzednio nie gardził.

Widywał się z nią tylko przy obiedzie, a czasami jadał nawet w hotelu, aby sobie niemiłego oszczędzić spotkania.

Przestał być dla niej mężem; był obcym, gościem w domu.

Przeto zdziwiła się, gdy wszedł do salonu i stanął przed nią.

Taka bladość pokrywała jego oblicze, tak złowrogo błyszczały jego oczy, że się radczyni przeraziła.

Podniósłszy lekko głowę, czekała na jego słowa.

— Twój syn żyje — przemówił radca.

— Żyje, moje dziecko żyje?!

Radczyni złożyła ręce i podniósłszy twarz w górę, szepnęła:

— O, dzięki tobie, Panie Panów, że ocaliłeś mojego jedynaka!

— Byłoby lepiej dla niego, gdyby nie istniał na kuli ziemskiej — mówił radca głosem drżącym.

— Mężu!

— Gdyby nie pozostał z niego ani jeden atom, ani proch prochu.

— O! Boże, przecież to i twój syn!

— Nie jestem już ojcem nikczemnika, który odbiegł sztandarów ojczyzny. Wyrzekam się go, przeklinam, wydziedziczam.

Sina bladość pokryła twarz radcy. Trząsł się cały, jak w febrze.

— Przeklinam go, przeklinam — powtórzył zcicha.

— Jasiu, mężu mój! — zawołała radczyni.

— Nie jestem żadnym Jasiem. Nazywam się Hans von Frankenstein.

Ciężko opadła radczyni na fotel.

— Cóż on takiego zrobił? — zapytała, spuszczając głowę na pierś.

— Co zrobił?

Radca odetchnął.

— Uciekł do Francuzów! — krzyknął. — Zdrajca, podlec, przeniewierca!

— Chwała Tobie Boże! — zawołała radczyni, podnosząc szybko głowę.

Rumieniec radości zabarwił jej twarz, która odmłodniała o lat kilka.

Przez chwilę zdawało się, że radca rzuci się na żonę. Podał ciało naprzód, wyciągnął zwinięte pięści. Z oczu jego sypały się iskry najwyższego gniewu.

Potem wyprostował się i rzekł:

— Byłbym popełnił niedorzeczność, bo nikt nie może odpowiadać za sympatye, drzemiące w jego krwi. Nie mam pani za złe, że ciebie hańba domu, do którego weszłaś, nic nie obchodzi, że nie czujesz, jaki srom pokrył nazwisko, które i ty nosisz. Lecz zrozumiesz, że w takich warunkach stało się dalsze nasze pożycie niemożliwem, że musimy się rozejść. Gdy minął

pierwszy szał miłosny, łączył nas tylko syn. Ten spójnik nie istnieje już, przeto bywaj zdrowa, pani von Frankenstein, i zapomnij o mnie.

Radczyni nie odpowiedziała nic. Przyłożyła tylko rękę do serca i spojrzała na męża łzawym wzrokiem.

On stał jeszcze kilka sekund, jak gdyby się namyślał, potem odwrócił się i wyszedł do swego gabinetu.

Tu porządkował przez całą noc różne papiery, pisał listy, kończył przegląd bieżących spraw sądowych, a nazajutrz, przywdziawszy na siebie mundur pułkownika piechoty, wyjechał do Poznania.

Gdy stanął wieczorem w stroju wojskowym przed komendantem załogi stolicy prowincyi, wyrzekł generał:

— Jeszcze nie czas, jeszcze nie powołano „landwery“ pod broń. Wracaj do domu, pułkowniku, i czekaj na rozkaz, który prawdopodobnie niebawem nadejdzie, bo ta straszliwa wojna pożera ludzi, jak smok stugębny.

— Stawiam się, jako ochotnik, generale — odpowiedział radca.

— Radziłbym się wstrzymać, bo wielki to trud w twoim wieku, pułkowniku — przekonywał generał.

Wytrzymałem w Austryi w r. 1866-ym, to mi i teraz nic nie będzie! Krzepki jeszcze jestem i silny, a oficer przyda się zawsze na polu bitwy. Proszę wysłać mnie natychmiast do szeregów czynnych.

— Ha, jeśli taka twoja wola, pułkowniku, to uczynię, czego żądasz, lecz powiedz mi, co cię do tego kroku nakłoniło.

— Krew ojca powinna zmazać zdradę syna — odpowiedział radca.

Generał nie pytał więcej. Pokiwał tylko starą głową i wyrzekł:

— Prawda, przypominam sobie, mówiono mi dziś o ucieczce twego syna. Jedź więc z Bogiem.

Jeszcze tego samego dnia wsiadł radca do nocnego pociągu, który odchodził do Francyi.

XIII.

Pogodna noc grudniowa rozpięła błękitny, brylantami dzierzgany namiot nad departamentem francuskim, zwanym *Côte d'Or*. Stała wysoko na sklepieniu niebieskiem milcząca, królewska, a jednak tak wymowna! Dość spojrzeć na jej oblicze, by się czuć upokorzonym, małym, nędznym.

Wielka cisza ogarnęła ziemię miękkiemi skrzydły spoczynku. Utonęły w srebrzystych cieniach miasta i wioski, nie ruszały się obnażone gałązki drzew i krzewów.

Długie pasmo gór, ciągnące się od *Châlons-sur-Saône* aż do wyżyny *Langres*, wyglądało jak gdyby przysiadło, obwinąwszy się do snu przejrzystym płaszczem.

Zdawało się, że całe żyjące stworzenie po-

winno wśród tak wspaniałego spokoju zapomnieć o zabiegach białego dnia, o troskach i nienawiściach, o smutkach i zwątpieniach — przebaczyć wszystkim, kochać wszystkich. Zdawało się, że nie powinien nikt czuwać, okrom czworonożnego stróża uśpionych mieszkań ludzkich.

A jednak łudził majestat nocy.

Ot tam, u stóp gór, w okolicy *Nuits*, wydobywają się z pośród jodeł, porastających obszerną dolinę, szare, falujące wstęgi dymu, który wypływa wolno z czarnych borów i snuje się wyżej, coraz wyżej, aż ginie w oddali.

Pod każdem drzewem, oparty plecami o pień, siedzi człowiek z karabinem na kolanach. Głowa jego opadła na pierś, lecz podniesie się natychmiast, gdy się głos dowódcy rozlegnie.

To nie żołnierze! Nie zrównał ich jednostajny mundur i ta sama broń. Każdy ubrał się, jak mógł, zabezpieczając się przeciw mrozowi pierwszym lepszym szmatem. Co przyniósł z sobą z domu, zdarło się już dawno. Liczne marsze zniszczyły mu obuwie, noclegi na gołej ziemi stargały suknie, kule zabrały czapkę. Otulił się więc łachmanem, zabranym w chacie chłopskiej, lub strzępami uniformów pokonanych nieprzyjaciół.

Jeden trzyma w krzepnących od zimna dłoniach szasepot francuski, drugi odtylcówkę pruską, trzeci zwykły sztucer.

Hałastra to, biedna, obdarta, bez butów, głodna, zmęczona, ale tej hałastry obawia się potężna armia niemiecka daleko więcej, aniżeli marszałków Napoleona III-go.

Jak wściekłych psów, ścigają generałowie Germanii luźnych, niesfornych wojowników, którzy nazwali się *franc tireur'ami*, i pastwią się nad nimi bez miłosierdzia, gdy którego z nich pochwycą.

Wie o tem „wolny strzelec," przeto walczy z podwójną odwagą, broniąc nietylko Francyi, lecz i gardła swego, któremu grozi stryczek.

Szybki, niewidzialny, jest wszędzie i nigdzie. Napada mniejsze oddziały, zabiera do niewoli patrole i rekonesanse, zdobywa stacye kolei żelaznych, zatrzymuje prowiant, amunicyę, strzela z okien domów, z rowów, z po za drzew, a zrobiwszy swoje, znika bez śladu.

Sztab niemiecki pieni się z gniewu na *franc-tireur'ów*. On przywykł operować tylko na wolnem polu i wielkiemi masami. Ten mały wróg, kąsający ciągle dywizye generała Werdera, rozrywający linię etapów, po której idą posiłki z *Vaterland'u*, niepokoi go, niecierpliwi, drażni..

Chciałby go zdusić, zgnieść, lecz gdzież pochwycić „bandy," które wymykają się z rąk ze zręcznością piskorzów?

Największą nienawiścią pałają Niemcy ku oddziałowi, gospodarującemu w okolicach Nuits. Zgraję ochotników różnych narodowości prowadzi tam jakiś junak, biegły w rzemiośle wojennem. Mówią, że to były oficer pruski.

Dużo już żółci napsuła „banda" w Nuits generałowi Werderowi, który trzyma straż w departamencie Côte d'Or. Zniweczyła ona niejeden z jego planów, wypadając zawsze z ukrycia niespodzianie, jak przypadek.

Więc trzeba znieść „opryszków," choćby kosztem potoków krwi.

Lecz naczelnik „zuchwałej bandy" wie o tych zamiarach.

Szpiegowie jego donieśli mu, że ciągnie przeciw niemu kilka pułków piechoty pruskiej.

Przeto postanowił uprzedzić nieprzyjaciół i przywitać ich po swojemu wtedy, kiedy go się najmniej będą spodziewali.

Cały dzień przemaszerowali „awanturnicy." Teraz odpoczywają, czekając na rozkaz do dalszego pochodu.

Choć głodni i zmęczeni nadmiernym trudem,

nie ułożyli się do snu. Każdy z nich drzemie tylko z bronią w ręku, ostrożny, wsłuchany w najlżejszy szmer, jak płoszony ciągle zwierz lasu, niepewny ani dnia, ani godziny.

Nie śpi i dowódca ich.

Siedzi on na pniu ściętego drzewa i patrzy przed siebie, w krwawe płomienie palącego się ogniska.

Czoło zasłania mu bobrowa czapka, wciśnięta aż na brwi, a twarz jego pokrywa bujny, nierozczesany zarost i gruba warstwa brudu.

„Wolny strzelec“ nie ma czasu do pamiętania o swej powierzchowności.

Dowódcę kilku tysięcy walecznych wojowników nie zdobi jaskrawy, złocisty mundur. Ma on na sobie krótką kurtkę z potrzebami, podbitą barankiem, łosiowe spodnie, długie buty, wysmarowane sadłem. Całą oznaką jego godności jest świstawka, zwieszająca się z szyi na zwyczajnym sznurku.

I on nie miał nic w ustach od samego rana. Ze świtem napił się wódki, tak jak jego żołnierze, i tak samo jak oni, przekąsił kawałkiem twardego chleba. Piął się przez cały dzień po górach, prowadząc za sobą konia, którego dosiadał tylko podczas bitwy, aby módz panować lepiej nad położeniem.

Mimo to nie czuje znużenia.

Już przeszło godzinę spogląda w ogień, oparłszy głowę na dłoni. Oczy jego błyszczą szkliście, jakby martwe. Myśl pobiegła w inne strony, daleko od miejsca, w którem znajduje się jej powłoka doczesna.

Obok dowódcy leży na plecach drugi człowiek, równie milczący, jak on. Ręce splótł pod głową, a wzrok utkwił w sklepieniu niebieskiem. Czasem spogląda na ognisko i popycha nogą drwa, wysuwające się ze stosu.

Równy oddech kilku tysięcy zdrowych piersi, zmieszany z parskaniem koni i chrzęstem wędzideł, ożywia smutną ciszę nocy zimowej. Na około szepcze las, a z parowów dochodzi stłumiony szum potoków górskich, co spadają z łoskotem po odłamach skał.

Długo spoczywali, dowódca i jego towarzysz, obok siebie, w milczeniu.

Pierwszy odezwał się żołnierz, który leżał u stóp naczelnika. Podniósł się od ognia zaklął po polsku:

— A tyż to siarczyste zimnisko! Żeby je choroby świgały.

— Prawda, zimno — odparł wódz „bandy“ tym samym językiem, potarłszy oczy dłonią. — Ale zagrzejemy się niezadługo.

Wyrzekłszy to, spojrzał na zegarek.

— Już północ — mruknął — jeszcze godzinę; niech naprzód dobrze zasną.

— Żeby tyż ta panicz pomyśloł o jakim wichcie, bo człeka djobli wezmom. W brzuchu piszczy, kiejby doma, na przednówku. Jobym ta wpodł do wsi i zabrał chłopstwu wszystko, jak sie patrzy. Przeciek my wojoki, a nie byle jakie chamy. Co uni majom żryć i pić, a my głodem przymierać. Niech dadzom jeść, kiej za nich łbów nadstawiomy. Panicz to ta cingim prawi o honorności, a Miemcy to palom i rabujom, jak się na wojnie noleży. Tfu, jakie tyż to przeklęte zimnisko.

— Wojciechu! — przemówił dowódca, spojrzawszy surowo na swego towarzysza — wiesz, że nie lubię takiego gadania. Nie jesteśmy rozbójnikami, lecz żołnierzami.

Wojciech zamilkł natychmiast, a jego pan zapatrzył się znów w płomienie.

Niktby nie poznał w brudnym, zarosłym, obdartym naczelniku „bandy“ wolnych strzelców syna radcy Frankenstein'a. Broda przydała mu lat, kilkotygodniowa zaś włóczęga po górach starła z niego wszystkie ślady wielkomiejskiej wytworności.

Ale za to rozbrzmiewała sława jego przybranego imienia po całym departamencie *Côte d'Or*. Bolesław bowiem, stanąwszy na czele *franc-tireur'ów*, nazywał się herbem swej matki. Był to powód, dla którego nie domyślano się nawet w obozie niemieckim, kim jest właściwie ów głośny „opryszek z pod *Nuits*."

Wiedziano tylko, że spadał w noc jasną i chmurną, w dzień pogodny i słotny, jak orzeł z górskich kryjówek, że umiał zmylić czujność straży niemieckich, podpełznąć do wysuniętych posterunków, wyrznąć wszystkich w pień, zabrać kasę, furgony, zniszczyć kolej żelazną lub podpalić stacyę.

Podczas bitew słyszano przenikliwy głos jego świstawki, kierującej ruchami wolnych strzelców, a czasami nawet donośną krótką komendę. Jego samego nie widział nikt, gdyż zwykłe ubranie nie wyróżniało go z tłumu.

Der Bandit von Nuits był postrachem oddziałów Werdera. Urządzono na niego od kilku dni istne polowanie, a on przygotowywał tymczasem sam prześladowcom swoim krwawą niespodziankę.

Opryszek!

Kiedy Bolesław bił się pod Weisenburgiem i Wörth'em z bierną odwagą stracenca, który

wiedział, że zginie, gdy się nie będzie bronił, wtedy dziękowano mu przed frontem i nagrodzono orderem. Lecz tu, gdzie walczył bez munduru za sprawę narodu, z którym współczuł, był tylko — prostym rozbójnikiem.

Postawiono cenę na jego głowę, grożono mu stryczkiem.

Niejednokrotnie już myślał Bolesław nad dziwnem pomieszaniem pojęć ludzkich. Serce jego było pełne goryczy i nienawiści do Niemców, którzy go ścigali z zaciekłością psów gończych.

Groźnie ściągnęły się i dziś jego brwi, a prawica zwinęła się w pięść.

— Zobaczymy, kto kogo powiesi — wycedził przez zaciśnięte zęby.

Potem wstał, obrzucił wzrokiem skulone postacie, owiane blaskami czerwonego światła, i przyłożył świstawkę do ust.

— Wstawajcie! Już czas! — zawołał po francusku.

Zerwali się wolni strzelcy na dany znak z twardych posłań i wyprostowawszy skostniałe członki, stanęli w szeregach.

— Nie będę was zagrzewał do boju, w który idziemy — przemówił Bolesław — bo każdy z was wie, że skona na drzewie hańbiącem,

gdy wpadnie w ręce Niemców. Brońcie więc przedewszystkiem własnego gardła, a o reszcie pomyślę ja.

Wyrzekłszy te słowa, zwrócił się do swego adjutanta i zapytał:

— Czy wszystko w porządku?

— Wszystko, naczelniku.

— Dobrze! Konie i graty obozowe zostawić na miejscu pod strażą stu ludzi, a reszta marsz, w drogę. *En avant!*

Cicho, bez szelestu rozpoczął się pochód „bandy."

Wolni strzelcy szli długim parowem ostrożną, rozważną stopą.

Posuwając się w milczeniu w srebrzystych cieniach nocy zimowej, wyglądali jak wojsko duchów z baśni ludowej.

Po dwóch godzinach zbliżyli się pod osłoną gór i drzew na kilka tysięcy kroków od wioski, w której przednia straż niemiecka rozłożyła się obozem.

Gdy dotarli do skraju lasu, dał Bolesław, idący przodem, znak ręką, aby się zatrzymali. Adjutant powtórzył niemy rozkaz dowódcy, za nim uczynili to samo wszyscy oficerowie, i oddział stanął, posłuszny, karny, jak dobra maszyna.

Dowódca nie mógł już użyć świstawki, bo zdala słychać było wyraźnie odgłos kroków czuwających widet pruskich.

Bolesław zbliżył się do adjutanta i szepnął mu do ucha:

— Dziesięciu żołnierzów, którzy umieją rzucać wprawnie lancami, obwinie buty suknem, podpełznie do posterunków, stojących z naszej strony, i sprzątnie ich z drogi, lecz bez użycia palnej broni. Kulą w łeb dostanie, kto strzeli!

Znów rozszedł się pomiędzy szeregami lekki szmer, niby stłumiony szum boru, a po kilku minutach oderwało się od ciemnego ciała dziesięć cieniów i zniknęło za drzewami.

Nastała teraz wielka cisza, która trwała kwadrans. Cała uwaga wolnych strzelców skupiła się w uszach. Zdawało im się, że słyszą w oddali, jakby krótkie, urwane jęki ludzkie.

Może to złudzenie... Noc odzywa się tak dziwnemi, tajemniczemi głosami...

Ktoś zbliżał się rowem przydrożnym do skraju lasu.

— Stało się, jak rozkazałeś, naczelniku!

Był to jeden z owych dziesięciu wysłanych.

— Dobrze! Teraz marsz na tych opryszków! Gdy świsnę trzy razy, podnieść okrzyk wojen-

ny i ruszyć galopem naprzód, za Francyę i własną skórę. Tylko cicho!

Niepotrzebnie zalecał naczelnik ostrożność. Żołnierze jego znali się na bitwach tego rodzaju.

Każdy z nich przycisnął karabin silnie do ramienia, aby bagnet nie zadzwonił o bagnet, pochylił się, przyczaił się, jak kot, i posuwał ku obozowi Prusaków.

Oczy tych ludzi świeciły w ciemnościach nocnych, jak ślepie szakalów. Błyszczała w nich nieubłagana nienawiść do wrogów, do których się zbliżali.

Właśnie mijała „banda“ łańcuch pierwszych widet, kiedy rozległy się strzały dalszych posterunków, które, usłyszawszy głuchy szmer, domyśliły się czegoś niezwykłego.

Lecz w tej samej chwili odezwała się świstawka Bolesława trzykrotnie.

Z głośnym okrzykiem:

— *A bas, les Prussiens!* — pomknęli wolni strzelcy naprzód, pędząc, ile im sił starczyło, aby zyskać na czasie.

Na całej linii widet błysnęły ognie karabinowe, po chwili rozbrzmiały trąbki i zawarczały bębny pruskie.

Uśpiona jeszcze przed kilku minutami wieś przebudziła się nagle z okrzykiem trwogi.

— *Der Räuber von Nuits!* — krzyknęły posterunki.

Z domów wypadali oficerowie bez hełmów, zapinając po drodze do miejsca zbornego mundury, ze stajen, obór i stodół wybiegali żołnierze z sianem i słomą we włosach, bez ubrania, bez broni.

A „opryszek z pod Nuits“ był już tuż, tuż. Sypał gradem kul na uciekających i zbliżał się do nich z tysiącami morderczych bagnetów.

— *A bas, les Prussiens!* — wołali wolni strzelcy, pędząc Niemców przed sobą, jak stado spłoszonych owiec.

Lecz już oprzytomnieli oficerowie pruscy.

Nad powszechną wrzawą zapanował głos ich komendy. Żołnierze dorwali się do broni i zaczęli się zbijać w gromadki.

— Zapalić kilka domów, aby jasno było! — zawołał ktoś w tłumie.

Natychmiast strzelił z jednej z chat ognisty słup. Za nim drugi, trzeci...

Na widok ten ryknęli wolni strzelcy.

— Podpalacze, rozbójnicy!

I rozpoczęła się bitwa przy blasku płonących zagród wiejskich, straszna, zacięta, krwawa.

Niemcy, napadnięci nagle, nie mieli czasu do sprawienia szyku bojowego. Walczyli oddziała-

mi, niedopuszczeni nawet do użycia broni palnej. Tu i owdzie tylko padały strzały. O użyciu dział nie było mowy. Bagnet pracował straszliwie.

— Niema dziś pardonu dla nikogo, nie ma przebaczenia, bo to *franc-tireur'zy* walczą!

Wiedzą o tem zarówno Francuzi, jak Niemcy. Przeto nie biją się, lecz mordują wzajemnie. Nie idzie im o zdobycie stanowiska, jeno o większą ilość zabitych.

Kogo zamieszanie odcięło od gromady, ten opiera się plecami o drzewo lub o ścianę domu i broni się, dopóki nie padnie. Kto ranny, ten nie prosi o życie. Zaciska tylko zęby i czeka w ponurem milczeniu na cios śmiertelny.

— Biada wam, najeźdzcy!

Biada Niemcom, bo Francuzi wypierają ich ze wsi. Po górze trupów ścigają wolni strzelcy niedobitków przedniej straży Werdera.

Tam, przed kościołem, gdzie się ulica rozszerza, tworząc wygodniejsze miejsce do boju, zatrzymali się Prusacy. Jakiś wyższy oficer porządkuje ich i szykuje do boju regularnego.

Daremny to jednak trud. Już wpadli Francuzi na rozbitków i rozerwali formujący się czworobok.

Prowadzi ich sam dowódca z rewolwerem w lewej, z szablą w prawej dłoni. Szybki pochód rozwiał mu brodę, dym prochu pokrył resztę oblicza czarną zasłoną.

Bolesław nie komenderuje. Na co? Żołnierze jego wiedzą, co powinni czynić. — Zginąć albo zwyciężyć. Ot, wszystko...

Nacisnął czapkę głęboko na czoło, i idzie przodem. Usta jego milczą, ale oczy błyszczą złowrogo.

Spostrzegł dowódcę Niemców i rusza prosto na niego. Już podniósł rewolwer, już przyłożył palec do cyngla...

Wtem wypuścił nagle broń z ręki i cofnął się, rozkrzyżowawszy ramiona, jak przed widmem.

W tej samej chwili zanurzył Niemiec szpadę swoją w jego piersi.

— Ojcze mój, ojcze! — krzyknął Bolesław, padając twarzą na ziemię.

Oficer pruski schwycił się za głowę i zawołał po polsku:

— Mój syn, mój syn!

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

W dwa tygodnie potem odstawiła rodzina Rożanowskich panią Jadwigę Frankenstein do domu obłąkanych w Owińskach.

Radczyni nie rzucała się, nie miotała. Chodziła tylko po korytarzach zakładu i nuciła z cicha stare piosenki...

KONIEC.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie		*Z przesyłką pocztową*	
Rocznię . (52 tomy)	rs. 10	Rocznie . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop.

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzą dzieła następujących kategoryj:

1. **Arcydzieła literatury powszechnej,**
2. **Dzieła beletrystyczne** (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. **Dzieła historyczne,** szczególniej pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości.
4. **Dzieła popularno-naukowe** ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA
Saturnin Sikorski.

ZA REDAKTORA
Klemens Szaniawski.

Druk. Artyst Saturnina Sikorskiego, Nowy-Świat 47

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Января 1888 г.

260,-

75/85

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174060

Biblioteka WSP Kielce
0122078